
Gerard Cindy

Cud miłości

PROLOG

Michael Paige miał nie żyć od dwóch lat. W rzeczywistości nie tylko był cały i zdrowy, ale odzyskał pamięć.

Przypomniawszy sobie, co miał i co utracił. I zapragnął mieć to wszystko z powrotem.

Z oddalenia, zza ciemnych szkieł, z mocno bijącym sercem przypatrywał się Tarze - żonie, którą stracił, jeszcze zanim opinia publiczna przesądziła o jego śmierci.

Ostre wrześnie słońce prześwitywało przez szumiące korony dębów, rozrzucając wokół jasne błyski. W powietrzu unosił się zapach róż, ostatnich róż tego lata. Michael siedział w milczeniu na parkowej ławeczce.

Przypominał sobie jej gesty, swoje palce zaplątane w jej krótkie, czarne, miękkie jak jedwab włosy. Pamiętał, że kiedy się kochali, jej fioletowe oczy zachodziły mgłą i jaśniały lawendowo. Dwa lata temu. To jak całe życie.

Uśmiechnęła się. Jej twarz promieniała miłością do małego dziecka, drepczącego u jej boku. Chłopczyk ubrany był w maleńkie sportowe buciki, czapkę i kurteczkę z napisem Chicago Cubs. Spoglądał na swoją mamę śmiejącymi się szarymi oczyma. Jego oczyma.

Wzruszenie ścisnęło go za gardło. Miał syna!

Nazywał się Brandon. Dopiero dwa tygodnie temu dowiedział się o jego istnieniu i po raz pierwszy zobaczył, jak wygląda. Sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął sfatygowany kawałek gazety.

To się stało w Ekwadorze. Robił zakupy w Quito, w jednym z supermarketów, kiedy jego uwagę przyciągnęło zdjęcie Tary w gazecie. Wtedy zaczął sobie wszystko przypominać. Przeżył szok. Zwłaszcza kie-

dy z gazety dowiedział się o własnej śmierci.

Przejmujący ból przeszył mu prawą skroń. Dotknął palcami blizny, co przyniosło mu niewielką ulgę.

Ból nieważny - z czasem ustąpi. Teraz musi skupić się na tym, co najważniejsze. A najważniejsi są jego żona i syn.

Ogarnęło go uczucie tak wielkiej miłości i tęsknoty, że chciał od razu podejść do chłopca, przytulić go. Poczuć tuż przy sobie ciepło tego ruchliwego, małego człowieczka. Przejrzeć się w jego błyszczących oczach. Przekonać się, że to cudowne zjawisko nie jest tylko przewrotnym wytworem jego wyobraźni. I w końcu ostatecznie potwierdzić fakt własnego istnienia.

Jednak nie ruszył się z miejsca. Jako człowiek, który od dwóch lat podawał się za Miguela Santiago, niemógł tego zrobić. Jeszcze nie teraz. I nie tutaj. Nie mógł tak po prostu podejść do dziecka, które go nie znało. Nie mógł po prostu uśmiechnąć się do żony i powiedzieć:

- Nie umarłem. Ja się tylko zagubiłem. Tak bardzo tęskniłem za tobą.

Nie mógł, bo dla Tary on już nie żył. A zanim umarł, zażądała rozwodu.

Jego synek potknął się i fiknął do tyłu, zanosząc się śmiechem.

Mężczyzna, który im towarzyszył, pochylił się i wziął go na ręce. Potem wszyscy troje oddalili się. Tara, jego synek i mężczyzna, który miał zająć jego miejsce. Przynajmniej tak podawały gazety.

Poszli, zniknęli, a on nadal siedział w bezruchu. Z zaciśniętymi w pięści rękami w kieszeniach patrzył tępo przed siebie.

- Proszę pana... Hej; proszę pana, dobrze się pan czuje?

Podniósł wzrok, mrużąc oczy przed oślepiającym wrześnieowym słońcem.

Stał przed nim wysoki, wysportowany nastolatek. Pod pachą miał piłkę do koszykówki, na nosie mnóstwo piegów.

Ubrany był w szerokie spodnie i rozciągniętą koszulkę z napisem Chicago Bulls. Pomimo że chłopak przezornie nie podszedł zbyt blisko, Michael poczuł bijący od niego zapach soli, potu i witalności. Chłopak patrzył na niego z niepokojem i obawą.

- Człowieku, jesteś blady jak jakaś zjawa - powiedział.

Zjawa. To nawet mogło być zabawne. Gdybyż ten dzieciak wiedział! Michael po raz ostatni spojrział na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą była jego żona z synkiem.

Potem wstał i poszedł przed siebie.

Tym razem obiecał sobie, że wyjdzie z cienia. Nie będzie już uciekał przed życiem. Chce mieć je z powrotem. Swoje życie i swoją żonę.

Scandalous

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Tara Connelly Paige siedziała po turecku na pluszowej różowej wykładzinie, zaścielającej podłogę saloniku w rezydencji Lake Shore Manor.

Wpatrywała się w ogień, dzięki któremu nie czuła chłodu tego wczesnego wrześniowego wieczoru. Obok niej, wtulony w miękką, niebieską kołderkę, uszytą własnoręcznie przez jego prababcie Nanę Lilly Connelly, spał błogim snem cztemastomiesięczny Brandon.

Niewinny i zupełnie nieświadomy rozterek, jakie przeżywała jego matka.

- Trochę za późno, żeby zmieniać zdanie, Taro - usłyszała za sobą zatroskany głos ojca.

Odwróciła głowę, napotykając uważne spojrzenie Granta Connelly'ego.

Powinna już przywyknąć do tego, że ojciec potrafił czytać w jej myślach. Jego intuicja nieomal napawała ją lękiem. On jednak nie nazywał tego intuicją, a raczej zrozumieniem.

Być może miał rację. Dwa lata już minęły od czasu, kiedy po śmierci Michaela ponownie zamieszkała w Lake Shore Manor.

Przez cały ten czas miała wrażenie, że ojciec zna wszystkie jej myśli. Był to jeszcze jeden powód, żeby się wyprowadzić i zamieszkać samodzielnie, albo;.. z Johnem.

Zamieszkać z Johnem. Wcale nie miała na to ochoty, a ta niechęć wywoływała w niej poczucie winy.

- Wiem, że to nie była łatwa decyzja, kochanie - powiedział Grant. - Jednak John ma rację. I dobrze, że w końcu poprosiłaś Seta, żeby zajął się sprawą Michaela. Pora, żeby oficjalnie uznać go za zmarłego.

Michael. Zmarły... Tara wciągnęła nerwowo powietrze.

Jakże trudno było jej porzucić nadzieję, że pomimo upływu czasu można by go jeszcze odnaleźć żywego. Rozsądek nakazywał jej odrzucić taką możliwość.

A jeśli rozsądek zawodził, pozostawała delikatna, ale uparta perswazja ze strony jej bliskich. Nawet Seth się przyłączył do akcji.

Bogu dzięki za Seta, brata prawnika. Kiedyś bardzo lubiła się z nim przekomarzać. Uśmiechnęła się do wspomnień i zaraz znowu posmutniała. Ostatnio nieczęsto mieli okazję się widywać.

Niemniej, tak jak wszyscy inni bracia i siostry, był z nią, kiedy go potrzebowała, a teraz podjął się prowadzenia sprawy, do której przymierzała się dwa lata. Profesjonalny, efektywny, dyskretny. Na kogoś takiego można liczyć. Podobnie jak na ich ojca.

Spojrzała na Granta Connelly'ego. Pomimo swoich sześćdziesięciu pięciu lat był wciąż przystojnym mężczyzną. Mocno zarysowana szczeka doskonale podkreślała wyrazistą, opaloną twarz z burzą ciemnych włosów.

Jednak tym, co wyróżniało go najbardziej, były bystre, stalowoszare oczy. Wystarczyło jedno zagniewane spojrzenie prezesa Connelly Corporation, żeby dorośli mężczyźni zaczęli drzeć ze strachu, a kobiety zanosły się płaczem.

Bywało, że i ona zasłużyła na naganę w jego oczach, ale zazwyczaj, dla żony i swoich dzieci, potrafił być ciepły i wyrozumiały.

Brandon westchnął przez sen i wcisnął małą, pulchną piąstkę pod brodę. Tara i jej ojciec uśmiechnęli się porozumiewawczo do siebie. Ten mały chłopczyk miał w sobie wielką moc. Czy śmiał się, czy płakał, niepodzielnie władał sercami wszystkich domowników, nawet kiedy był nie w humorze i kapryśny.

- Chłopcu potrzebny jest ojciec - powiedział z troską w głosie Grant.

Tara przełknęła ślinę, spuściła wzrok i odparła cicho:

- Wiem.

- John chce być dla niego ojcem. Chce się z tobą ożenić. To dobry człowiek, Taro. Tak, John był dobrym człowiekiem. Według Seta trochę zarozumiałym, ale dobrym. Dobrym dla Brandona. Dobrym dla niej. Wskazywał jej drogę, oferował poczucie bezpieczeństwa. Zapewniał wysoki poziom życia, do którego przywykła. Dzięki niemu mogłaby się

ponownie wyzwolić spod kurateli rodziców. Dość długo już nadużywała jego cierpliwości.

Tak, John znał wszystkie odpowiedzi i potrafił rozwiązać wszystkie jej problemy - wszystkie, z wyjątkiem jednego. Nie kochała go. Nie tak, jak kiedyś kochała Michaela.

Rozległ się trzask płonącego drewna w kominku. Tara spojrzała na swoją lewą dłoń, na której połyskiwał dwukaratowy brylant. Dostała go od Johna trzy tygodnie temu.

Michael dał jej tylko niedrogą, złotą obrączkę, ale wraz z nią miłość, nadzieję i marzenia.

Cóż z tego? W ciągu pięciu burzliwych lat ich małżeństwa narosło tyle rozmaitych problemów, że i miłość nie pomogła. Nie ustrzegła obojga przed błędami, które ich w końcu od siebie oddaliły. Dlaczego więc teraz miała być decydującym argumentem?

Zgodziła się wyjść za Johna, bo troszczył się o nią, a i ona miała dla niego wiele sympatii.

- Zatem... - kontynuował Grant, podnosząc do ust szkocką. Kawałki lodu dźwięcznie obijały się o ścianki kryształowej szklanki. - Czy wiesz już mniej więcej, kiedy ślub? Tara westchnęła, wolno wypuszczając powietrze. John także nalegał na ustalenie daty ślubu. Od czasu kiedy w prasie ukazała się oficjalna informacja o ich zaręczynach, nie zaznała ani chwili spokoju.

Czuła się, jakby kogoś zdradziła i jakby całe jej życie było już przesądzone. Odruchowo potarła brew, bezskutecznie starając się zapomnieć o uporczywym bólu, który rozsadzał jej głowę.

Nie była przygotowana na cały ten medialny cyrk. Gazety rozpisywały się o historii związku jej i Johna. Dziennikarze czatowali na nich z aparatami fotograficznymi. Ich zdjęcia i Brandona ukazywały się potem w najprzeróżniejszych kolorowych pisemkach.

Ale najgorsze w tym wszystkim było to, że ponownie ukazały się zdjęcia z katastrofy kolejowej w Ekwadorze, w której miał zginąć Michael, a wraz z nimi sensacyjne i Często makabryczne artykuły dotyczące jego zniknięcia.

Przeżywając ten koszmar na nowo, nie była w stanie zastanawiać się nad datą ślubu z Johnem. I nie miała na to ochoty.

- Trochę chyba za wcześnie na jakieś konkretne plany, biorąc pod uwagę...

Grant zasępił się i spojrzał przenikliwie na córkę.

- Biorąc pod uwagę, że nadal czujesz się związana z Michaeliem - dokończył.

Tara poprawiła niebieską kołderkę Brandona. Była taka miękka i prawdziwa w dotyku. Niewielu rzeczyc mogła być pewna. Ostatnio trudno było jej się oprzeć wrażeniu, że żyje w jakimś nierzeczywistym świecie. Oparła się plecami o kanapę.

- Nasz związek przestał istnieć, jeszcze zanim Michael zginął - powiedziała zdecydowanie, jakby nie tylko ojca, ale i samą siebie chciała przekonać.

- A mimo to... - Grant współczująco dotknął jej ramienia. Była jego małą córeczką i nie mógł nie podzielać jej smutku. - A mimo to boli cię myśl o jego śmierci jak o czymś ostatecznym.

- Tak - przyznała, przykrywając jego dłoń swoją. - To boli. Myślę o nim coraz częściej - wyznała, podciągając kolana do piersi.

Popatrzyła na ojca przez ramię. Napotkawszy zatroskane spojrzenie Granta, przełękła się swojego wyznania.

- To znaczy... czasami. Wtedy, kiedy zobaczę kogoś podobnego do niego.

Znowu zapatrzyła się w ogień, oplótła ramionami nogi i oparła brodę na kolanach.

- I do tego jeszcze te cholerne telefony - zezłościł się Grant.

To prawda, od dwóch tygodni odbierała dziwne telefony. Kiedy podnosiła słuchawkę, nikt się nie odzywał.

Tak bardzo ją to rozstrajało, że poprosiła Drew o telefony prywatnych detektywów. Jego narzeczona poleciła Toma Reynoldsa i Lucasa Starwinda.

- Szkoda, że nie zadzwoniłaś do Toma lub Lucasa. A może trzeba to było zgłosić na policji... - zastanawiał się Grant.

Tara, przestraszona nie na żarty, miała nawet taki zamiar, ale w końcu z niego zrezygnowała.

- I tak mają pełne ręce roboty, próbując wyjaśnić twoje sprawy - skwitowała.

Grant zamyślił się. Policja prowadziła sprawę niewyjaśnionej śmierci jej dziadka, króla Thomasa Rosemere z Altarii, i jej wuja, księcia Marka, a następnie próby zamachu na Daniela, który jako najstarszy syn Emmy Rosemere Connelly objął sukcesję po Thomasie.

- Poza tym - mówiła dalej Tara - co ja bym im powiedziała? Że jakie były te telefony? Nie mogę powiedzieć, że ktoś mi groził. Chociaż.

- Chociaż co? - zapytał niecierpliwie Grant.

- W zeszłym tygodniu - mówiła bardziej do siebie niż do ojca - wychodziłam ze sklepu i poczułam, jakby Michael tam był, obserwował mnie i czekał na mnie.

- To wszystko przez śmierć dziadka i zamach na Daniela - tłumaczył zatroskanym głosem Grant. - Do tego ochrona i dodatkowe środki ostrożności. Nic dziwnego, że jesteś niespokojna.

- Nie, nie - żywo zaprzeczyła - to nie to. Wiem, jak przejmujesz się naszym bezpieczeństwem, ale z tej strony nigdy nie czułam zagrożenia. To jakby...Nie wiem. Na przykład dzisiaj w parku. Był pewien mężczyzna... - Serce podskoczyło jej do gardła tak jak wtedy, kiedy go zobaczyła. - Bardzo go przypominał.

Przymknęła oczy, rozcierając sobie ramiona.

- Czasami wydaje mi się, jakby on tu nadal był, tato.

Ojciec westchnął.

- To dlatego, że nigdy tej sprawy nie zamknęłaś. To prawda. Ta sprawa nie została zamknięta. Za to była katastrofa kolejowa w nieprzebytych lasach Ekwadoru, niekończące się noce, brak jakiegokolwiek wiadomości, nieznośna pustka oczekiwania. Bezradna niepewność tego, co przyniesie jutro.

Michael nie był jedynym, którego ciała nie odnaleziono.

Ale nie tylko to nie dawało jej spokoju. Dręczyło ją poczucie winy, że ostatnie słowa, jakie od niej usłyszał, były ostatnimi jakich mógł oczekiwać.

Pamiętała każdą chwilę tamtego dnia, zupełnie jakby to było wczoraj. Widziała jego zbulwersowaną, pełną bólu twarz. I wciąż słyszała własne bezlitosne słowa...

- Nie musisz mnie odprowadzać - powiedział Michael, zatraskując bagażnik. Zarzucił podręczną torbę na ramię i postawił bagaż na

chodniku przy samochodzie.

Dookoła nich rozbrzmiewały klaksony aut, nerwowo szukających miejsc na parkingu. Skuleni z zimna podróżni przeciskali się z pękatymi torbami i walizkami, śpiesząc do hali odlotów.

Było tak zimno. Nie tylko na dworze. Serce też miała jak sopel lodu. Chłodny wiatr chłostał jej policzki i szarpał kołnierzem czerwonego wełnianego płaszcza. Szare, ołowiane chmury zwisały ciężko nad ziemią, a drobne, zagubione płatki śniegu zdawały się przypominać, że nadsięga ostra, chicagowska zima.

Michael z niepokojem wpatrywał się w jej twarz. Wiedział, że coś jest nie tak. Aż w końcu się domyślił. Po miesiącach niedomówień, strzępków wyznań wreszcie zrozumiał. Za późno.

- Porozmawiamy o tym - obiecał, kurczowo chwytając ją za ramiona i zmuszając do spojrzenia mu w oczy. - Wiesz, że muszę pojechać w tę podróż. Dla mnie, dla mojej kariery to „być albo nie być”. Rozumiesz to, kochanie, prawda?

Zakołysał nią delikatnie, unosząc kącik ust w tym szelmowskim uśmiechu, któremu nigdy nie umiała się oprzeć. Tym razem jednak Tara pozostawała niewzruszona.

- Kiedy wrócę, porozmawiamy - powtórzył, uginając kolana, żeby mieć bliżej jej twarz.

- Za późno na rozmowy, Michael. - Z jej słów ziało lodowatą obojętnością. - Od dawna jest już za późno.

Michael wyprostował się, silniej zaciskając ręce na jej ramionach. Próbował przytulić ją do siebie, kiedy wpadła na nich jakaś kobieta. Rzuciła szybkie „przepraszam” i pobiegła dalej w stronę terminalu.

- W nocy wcale nie wyglądało na to, że jest za późno - powiedział Michael. Oddychał głęboko, a ciepło jego oddechu zawisało w powietrzu, tworząc białe kłęby pary.

Ubiegłej nocy kochali się. Cokolwiek by się działo, kiedy nie znajdowali już żadnych słów porozumienia, w łóżku zawsze odnajdywali wspólny język. Od pewnego czasu seks był jedyną rzeczą, która ich przy sobie trzymała.

- Michael... to takie trudne. - Uciekła wzrokiem, zbierając siły, żeby mu to powiedzieć. - Ja chcę... chcę rozwodu.

Przez chwilę stał jak skamieniały, a potem jego uścisk zelżał i ręce mu opadły. Niespodziewane wyznanie i ostateczność jej decyzji zmroziły ich oboje.

- Nie mówisz tego poważnie - powiedział w końcu. - Spójrz na mnie - jego głos przybrał szorstki ton. - Powiedz mi prosto w oczy, że chcesz zniszczyć moje życie.

- Nasze życie - podkreśliła Tara i podniosła głowę. Czuła, jak jej serce tłucze się w niej ze złości, bólu i bezsilności. - Chodzi o nasze życie i nie ja jedna za to odpowiadam. To nie zaczęło się tutaj, Michael, ani teraz. Łzy napłynęły jej do oczu.

- Ja już więcej nie zniosę. I nie chcę.

- Nie zgadzam się - uciał chłodno.

Tara odwróciła głowę, wodząc wzrokiem po tłumie podróżnych kłębiących się przed wejściem do terminalu.

- Przykro mi, ale to niczego nie zmieni. Żądam rozwodu - powiedziała raz jeszcze, patrząc mu prosto w oczy. Po czym odwróciła na pięcie, przeszła na drugą stronę samochodu, otworzyła drzwi i wsunęła się za kierownicę.

Działała jak automat. Odruchowo zapięła pas, przekręciła kluczyk w stacyjce, włączyła bieg. Dopiero kiedy zobaczyła go w lusterku wstecznym, dotarło do niej to, co się stało. Stał tam nieruchomo z rozwianymi na wietrze włosami, zaczerwienionymi z zimna policzkami. Jego szare oczy patrzyły z wyrazem buntu i totalnej niezgody na to, co usłyszał.

Płakała. Płakała jeszcze, kiedy parkowała pod oknami ich mieszkania i długo potem.

Nawet teraz, po dwóch latach, wspomnienia były tak żywe, że znowu zbierało jej się na płacz. Tęskniła za tym, co ich kiedyś łączyło. Namiętność, nadzieja, wspólne marzenia.

W imię swojej miłości uciekli rodzicom w noc balu maturalnego. Byli w sobie zakochani, ale on był prostym chłopakiem, a ona księżniczką: Jej bogaci rodzice byli gotowi wysłać ją do odległej, ekskluzywnej szkoły dla dziewcząt, żeby położyć kres ich spotkaniom.

Chcieli, żeby ich córka znajdowała się jak najdalej od Michaela, który nie był dla niej wystarczająco dobry i nigdy nie byłby w stanie zapewnić

jej poziomemu życia równego standardom Connellych.

- John nie będzie wiecznie czekał, Taro.

Głos jej ojca przerwał smutne rozmyślenia. Dosadność tego stwierdzenia w jednej chwili wykluczyła wszelkie rozważania typu „mogła była”, „powinna była” i przywróciła ją rzeczywistości.

- Wiem. - Położyła delikatnie rękę na zwiniętym ciałku Brandona.

Tylko to dziecko było tym, co miała naprawdę. Wszystko inne wydawało jej się jakąś złowieszczą złudą.

Drzwi do saloniku otwały się z lekkim skrzypnięciem.

- Panie Connelly, przepraszam, że przeszkadzam.

W drzwiach stała Ruby ubrana, jak zwykle, w nienagannie wykrochmalony czarny strój. Była zdenerwowana. Jedną ręką ścisnęła gałkę od drzwi tak kurczowo, że z daleka widać było bielejące kostki. Oczy miała okrągłe jak spodki, a policzki szare, jak jej fartuch.

Grant i jego córka od razu wiedzieli, że coś się musiało stać. Ruby była z nimi od lat. Od kiedy Tarasięgała pamięcią, pełniła funkcję gospodyni, mieszkała z nimi, a jako przyjaciółka tego domu znała jego wszystkie tajemnice. Postawna i krzepka, teraz w niczym nie przypominała rezolutnej zarządczyni posiadłości Lake Shore Manor.

- Ruby - powiedział zaniepokojony Grant. - O co chodzi?

- Panie Connelly - powtórzyła, z trudem panując nad sobą. -

Przyszedł pewien pan i... chce się... chce się widzieć z panią Tarą.

- O tej godzinie? - zachnął się Grant. - A czy ten pan, który ma czelność składać wizytę o... - podniósł rękę i odsunął mankiet białej koszuli - nawet po dziewiętej wieczorem, jakoś się nazywa?

Zanim padła odpowiedź, Tara poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Zerwała się na równe nogi, nie mogąc złapać tchu w piersiach.

Ruby pobladła jeszcze bardziej, o ile to w ogóle możliwe. Spojrzała błagalnie na Tarę, tak jakby z góry ją chciała za coś przeprosić, i powoli rozchyliła masywne, dębowe drzwi.

Mężczyzna, który wkroczył do pokoju, był jak cień, jak duch z przeszłości.

- Dobry Boże... - dobiegł do Tary stłumiony głos jej ojca, który tak jak ona był wstrząśnięty i nie dowierzał własnym oczom.

To był sam Michael Paige!

Tara potrząsnęła głową z niedowierzaniem. Jednocześnie tak bardzo chciała, żeby to, co widziała, było prawdą.

Podniosła palce do ust, a kiedy jego smutne szare spojrzenie odszukało ją nareszcie, jej oczy napełniły się łzami.

- Michael...

Ojciec podniósł się z fotela i, stanąwszy za nią, przytrzymał ją za ramiona. Ale ona wydawała się nie widzieć niczego poza Michaeliem.

W uszach miała szum wezbranej krwi, a serce waliło jej w piersi jak oszalałe. Nogi się pod nią ugięły i łzy wzruszenia popłynęły niepowstrzymane po policzkach.

Stał tam - prawdziwy - wpatrując się w nią swoimi gorejącymi, szarymi oczyma. Podszedł i wziął ją za rękę. Jakże dobrze знаła dotyk jego palców!

- Taro... - odezwał się cicho Michael, chłonąc oczami bliskość jej twarzy.

Grantowi, który stał tuż za nią, rzucił błagalne spojrzenie. W pierwszym odruchu Grant przytrzymał córkę mocniej, gotów chronić ją przed nim, ale zawahał się i dając za wygraną, opuścił rękę.

Michael natychmiast porwał Tarę w objęcia, a ona przywarła do niego całym ciałem i rozszłochała się na dobre.

Płakała nad nim, nad sobą, nad wszystkim, co ich kiedyś łączyło.

Mój Boże! Był cały i zdrow. Szczupły, silny, ciepły i rzeczywisty! Nawet pachniał jej Michaeliem. A on gładził ją po plecach czule i gorączkowo, jakby chciał upewnić się, że to nie sen.

Z głośno bijącym sercem powtarzał szeptem jej imię.

Tara odchyliła głowę, żeby jeszcze raz spojrzeć mu w twarz. W twarz człowieka, którego kochała i z którym miała rozstać się na zawsze.

ROZDZIAŁ DRUGI

Michael zanurzył twarz we włosach Tary. Zapamiętał się w ich jedwabistej miękkości, miodowym zapachu.

Jak cudownie było poczuć bliskość jej ciała! Szok, radość, niedowierzanie, zaprzeczenie, nadzieja, miłość - w tej chwili nie chciał zastanawiać się nad jej reakcjami. Najważniejsze, że trzymał ją w ramionach.

- Michael... mój synu.

Grant dwa razy powtórzył jego imię, zanim Michael podniósł głowę i spojrzał na niego. Ojciec Tary wyglądał na bardzo poruszonego.

Synu? W ciągu pięciu lat małżeństwa z Tarą Grant nigdy się tak do niego nie zwracał. Michael miał prawo sądzić, że to nigdy nie nastąpi.

Teraz padło to słowo, wymknęło się Grantowi z ust. Dowód na to, jak bardzo pojawienie się Michaela wytrąciło z równowagi wielkiego Granta Connelly'ego.

- Dobry wieczór panu.

- Michael, jak...? Co...? - Grant z trudem dobierał słowa, wzniosłszy jedną rękę w geście zupełnego pomieszania.

- Tak, wiem. - Michael czytał pytania w jego oczach. - Chce pan, żebym się wytłumaczył. - Przeniósł wzrok na Tarę, która wciąż nie mogła otrząsnąć się z szoku. - Wszyscy czekacie na wyjaśnienia.

Odruchowo wziął Tarę za rękę i popatrzył na śpiącego na podłodze chłopczyka. Jego dziecko.

Targało nim tyle różnych emocji, że nie potrafiłyby nawet ich nazwać. Ze ściśniętym gardłem zamrugał powiekami, powstrzymując cisnące się do oczu łzy. Nie chciał poddawać się wzruszeniu. Nie tutaj. Nie przy Grancie Connellym.

- Czy mogę? - zapytał drżącym głosem.

Tara zawahała się przez chwilę, aż w końcu odparła cicho:

- Ależ tak, oczywiście.

Michael pochylił się nad dzieckiem. Kątem oka widział, jak Grant natychmiast objął Tarę opiekuńczym ramieniem.

Podniósł z podłogi zawiniętego w kołderkę chłopca i, wyprostowawszy się, położył go sobie na piersiach. Dziecko westchnęło we śnie i przytuliło się do niego.

Takie delikatne. Delikatne i bezbronne. Pachniało tak, jak tylko dziecko pachnieć potrafi. Michael przytulił twarz do małej główki. Jedwabista czuprynka wplątała się w jego krótki, szorstki zarost. Małe ciało emanowało niezwykłym ciepłem.

- Słyszałem, że posiadanie dziecka może człowieka odmienić - powiedział do siebie, niepomny na to, że nie jest sam.

Od kiedy zobaczył zdjęcie małego w gazecie, czuł się odmieniony. Wróciła mu pamięć, dowiedział się, kim jest, a odzyskanie rodziny stało się ważniejsze niż cokolwiek innego.

- Przepraszam - rzekł zakłopotany, nie mogąc opanować emocji. - Nie byłem na to przygotowany.

Odwrócił się do ściany, czule tuląc do siebie Brandona. Owładnęło nim uczucie tak wielkiej tęsknoty i żalu, że pozwolił sobie na łzy. Nie zauważył nawet, że weszła Emma.

Cichy głos Tary, jej ręka położona na jego ramieniu w geście współczucia przywróciły go do rzeczywistości.

- A może... może chciałbyś zanieść go na górę i położyć do łóżeczka?

Tara rozumiała, że potrzebował czasu. Czasu i zacisznego miejsca, gdzie mógłby dojść do siebie.

Michael mocno zacisnął powieki i skinął głową. Po czym, bez słowa, odwrócił się i ruszył za nią.

Wszyscy mieli świadomość wagi tej chwili.

Kiedy ją mijał, Emma dotknęła jego ramienia i lekko go uściśnęła.

Ruby uśmiechała się niepewnie, przy czym miała tak osłupiały wyraz twarzy, że w końcu Michael też się uśmiechnął: Tylko Grant nie przestawał mierzyć go surowym wzrokiem...

Znowu był w domu! I nic, i nikt - ani Grant Connelly, ani sprawa

rozwodowa, ani jakiś John Parker - nie sprawi, że zrezygnuje z walki o swoją żonę i prawo do bycia ojcem dla tego dziecka.

Pół godziny później, z powrotem w salonie, Michael był gotów do niełatwej, jak się spodziewał, rozmowy z Grantem.

Stanął przy kominku z kieliszkiem koniaku, który Ruby przezornie wcisnęła mu w rękę. Jak zwykle, była przewidująca. Kosztowny trunek rozplątywał się w nim kojącym ciepłem, łagodząc gwałtowny skok adrenaliny.

Wszyscy wpatrywali się w niego wyczekująco.

- Przepraszam. Wiem, że wywołałem szok, pojawiając się tak niespodziewanie.

Michael spojrzał Grantowi prosto w oczy, a następnie przeniósł wzrok na Emmę, która uśmiechnęła się zachęcająco.

- Długo nad tym myślałem. Setki razy zastanawiałem się, jak wam to najłatwiej przedstawić. W końcu zdecydowałem, że po prostu przyjdę tu dziś wieczorem. To musi być trudne - zawiesił głos i powiódł wzrokiem po wszystkich - dla każdego z was.

- To nie jest trudne, Michael. - Emma Connelly usiadła na kanapie u boku Tary i przytrzymała rękę córki na swoich kolanach. - O wiele trudniej nam było, kiedy zaginałeś bez wieści.

Szczerzość biła z jej dobrych, niebieskich oczu. W odpowiedzi uśmiechnął się do niej.

Emma była dobrą żoną. Szczerze kochała Granta. Tak mocno, że trzydzieści pięć lat temu zdecydowała się porzucić małe, europejskie państwko Altarii i zrzec się prawa do tronu, które należało jej się z racji płynącej w jej żyłach królewskiej krwi.

Księżniczka Emma przepłynęła Atlantyk, aby w Chicago poślubić mężczyznę będącego zaledwie u progu swojej kariery. Pomimo upływu czasu w prasie nie milkły wątki tej baśniowej opowieści.

Wciąż ukazywały się artykuły o powstaniu bogatej i wpływowej dynastii Granta Connelly'ego i o barwnym życiu jego licznych dzieci. Klan Connellych cieszył się niesłabnącym zainteresowaniem paparazzich.

Grant Connelly nie był jedyną miłością Emmy. Bardzo kochała swoje dzieci - każde z nich. Tarę oczywiście też. Nie zawsze była po stronie

Michaela, ale kiedy przekonała się o jego miłości do Tary, robiła wszystko, co tylko mogła, aby załagodzić niechęć Granta.

Teraz też tak było. Michael wyczuwał jego gniew, pomimo że był odwrócony plecami. Zresztą nie mogło być inaczej. Spodziewał się tego.

Nagle Grant odwrócił się i oznajmił:

- Byłem w Ekwadorze, Michael. I nie tylko ja. Daniel, Justin, Rafe, Seth - pojechali wszyscy, którzy mogli sobie na to pozwolić. Całymi dniami prowadziliśmy poszukiwania. Wróciliśmy do domu dopiero wtedy, kiedy przekonaliśmy się, że nikt nie mógł przeżyć tej katastrofy.

- Wątpię, żeby było inaczej - rzekł Michael, patrząc w wyczekujące stalowoszare oczy Granta. - Tylko że mnie nie było w tym pociągu.

Powiódł wzrokiem po twarzach pozostałych osób, dając im czas na oswojenie się z tą szokującą wiadomością.

- Jak to: nie było cię w tym pociągu? Przecież jechałeś tam w konkretnym celu, czyż nie? - dociekał Grant. - Wybierałeś się tam, żeby zbadać... Co to było? - Zamachał ręką, szukając odpowiedzi w pamięci. - Zasoby egzotycznego drewna. Z myślą o dostawach dla Essential Designs.

- Zgadza się - potwierdził Michael. - Firma wysłała mnie właśnie w tym celu. Poleciałem do Dallas. Potem do Quito. Miałem zarezerwowaną miejscówkę w tym pociągu.

Spojrzał na Tarę. Wydawała się zachowywać chłodny dystans do wszystkiego, co mówił. Teraz też patrzyła na niego z dziwnym wyrazem ni to zdziwienia, ni to znużenia.

Tłumaczył to sobie wstrząsem, jaki przeżyła. Potrzebowała czasu, żeby na nowo określić swoje uczucia do niego.

- Pociąg z Quito odchodził dopiero następnego dnia, pomyślałem więc, że rozejrzę się po mieście - kontynuował swoją opowieść Michael. Wbił wzrok w kieliszek, a potem znowu spojrzał na Tarę. - Jak się potem okazało, nie był to dobry pomysł. Zostałem napadnięty.

Tara przymknęła powieki, a Michel ucieszył się w duchu, że nie powiedział wszystkiego.

Prawda była taka, że rozstanie na lotnisku O'Hare sprawiło mu ogromny ból. Czuł się tak zraniony, że nie mógł o niczym innym myśleć i w końcu najzwyczajniej się upił, stając się łatwą ofiarą miejscowych

mętów.

- Dziecko drogie! - Oczy Emmy zaszkliły się ze współczucia. - Skrzywdzili cię?

- Najpierw pobili, a potem ukradli wszystko, co miałem przy sobie, nawet paszport. Dokładnie nie wiem, co się stało, ale musieli mnie wywieźć za miasto i porzucić gdzieś w dżungli na pewną śmierć.

- Ale nie umarłeś - zauważył obcesowo Grant.

- Nie, nie umarłem - odparł Michael, patrząc Grantowi w oczy. Po czym dopił koniak i przeciągle westchnął. - Zdaję sobie sprawę, że to brzmi mało wiarygodnie. A to, co się potem zdarzyło - tym bardziej. Krótko mówiąc, niejaki Vincente Santiago odnalazł mnie gdzieś w górach, a potem razem z żoną Marią zaopiekowali się mną, aż odzyskałem siły. Maria jest miejscową lekarką.

- I przez cały ten czas dochodziłeś do zdrowia? - nieco ironicznie wtrącił Grant.

Michaelowi przyszło na myśl, że teść świetnie sprawdziłby się w roli prokuratora.

- Nie. Dokładnie nie wiem... Zanim się wszystko zagoiło... to chyba trwało sześć miesięcy.

- Sześć miesięcy? To znaczy osiemnaście miesięcy temu. Dlaczego, do diabła, nie wróciłeś od razu do domu? - Grant otrząsnął się z pierwszego szoku i zaczęła go ogarniać coraz większa złość. - Dlaczego przynajmniej się z nami nie skontaktowałeś? Tara tu od zmysłów odchodziła. Musiałeś wiedzieć, że się wszyscy zamartwiamy o ciebie.

- Grant, gdybym mógł, na pewno bym dał wam znać. Cały problem w tym, że nie miałem o niczym pojęcia - rzekł Michael, spoglądając wszystkim w oczy i w końcu zatrzymując wzrok na Tarze.

- Nie wiedziałem, że się martwicie. Nic nie wiedziałem. Podczas tego napadu nieźle oberwałem po głowie...

Odruchowo dotknął palcami blizny na skroni.

- Kiedy odzyskałem przytomność, w ogóle nie wiedziałem, co się dzieje. Nie wiedziałem, jak się tam znalazłem, nie pamiętałem, skąd jestem, ani nawet kim jestem. Nie pamiętałem, jak się nazywam.

- Amnezja - mruknęła Ruby. - Dobry Boże! Podeszła do baru, otworzyła butelkę przedniej brandy i naląła sobie drinka.

- Tak, amnezja - powtórzył za nią Michael. -Można by pomyśleć, że to zdarza się tylko w filmach.

- Całe dwa lata. Dwa lata, Michael. Spodziewasz się, że uwierzymy, że przez ten czas włóczyłeś się gdzieś, nie wiedząc, kim jesteś? '

- Grant - upomniała go delikatnie Emma - ten chłopak przeszedł piekło. Na litość boską, pozwól mu dokończyć.

Michael uśmiechnął się do Emmy z wdzięcznością i zwrócił w stronę Granta.

- Jak już mówiłem, przez sześć miesięcy powracałem do zdrowia i - dodał z lekkim uśmiechem - uczyłem się hiszpańskiego. Vincente i Maria znali zaledwie parę słów po angielsku. To, że ja potrafiłem mówić po angielsku, było jedyną wskazówką, kim mogłem być. Domyślałem się, że jestem Amerykaninem, ale nic poza tym. Nie włóczyłem się, jak mówisz. Santiagowie pozwolili mi u siebie zostać. Pracowałem z nimi w firmie handlującej drewnem.

Michael mógłby dalej ciągnąć swoją opowieść, ale pomyślał, że na razie wystarczy.

- Kiedy... kiedy sobie przypominałeś? - zapytała Tara, ściągając brwi. Siedziała sztywno, zaciskając nerwowo dłonie na kolanach.

- Dwa tygodnie temu.

- Dwa tygodnie? - W głosie Granta nadal pobrzmiwało powątpiewanie. - I co? Tak po prostu obudziłeś się pewnego ranka i przypominałeś sobie, że masz rodzinę?

- Niech pan posłucha, panie Connelly. Ja wiem, że trudno w to uwierzyć. Przyznam się, że czasami nawet ja mam z tym kłopot.

- Nie spiesz się, kochanie.

Michael znowu posłał Emmie wdzięczny uśmiech.

- A co się takiego stało, że sobie nagle wszystko przypominałeś? - zapytała Tara.

- To się stało dzięki tobie - odparł bez wahania, a ona pobladła jak chusta. - Rodzina Connellych należy do amerykańskiej elity. Cokolwiek zrobią, gdziekolwiek się pojawią, gazety o tym piszą. Robiłem zakupy w Quito, w czymś w rodzaju lokalnego supermarketu. Byłem już przy kasie, kiedy w oczy rzuciła mi się okładka kolorowego pisma. Na pierwszej stronie widniało zdjęcie twoje i Brandona wraz z ogłoszeniem

zaręczyn z Johnem Parkerem. Moje zdjęcie też tam było, a przy nim obfitujący w dość drastyczne szczegóły opis mojej śmierci.

- O Boże! - Emma podniosła się roztrzęsiona i podeszła do barku. Ruby nalala jej brandy i skwapliwie uzupełniła swoją szklaneczkę. - To musiało być dla ciebie straszne przeżycie.

- Straszne? I tak, i nie. Muszę powiedzieć, że w pierwszej chwili ogarnęła mnie panika. Ten nagły, narastający przypływ wspomnień wręcz zwał z nóg. Do tego ból głowy nie do wytrzymania. Zemdlałem. Musiał to być niezły widok - dodał z ironicznym uśmiechem. - Kiedy oprzytomniałem, leżałem na podłodze w przejściu, a obok mnie moje torby z zakupami. Wtedy właśnie zacząłem sobie przypominać. Wszystko.

Spojrzał znacząco na Tarę. Po wyrazie jej twarzy poznał, że myślała o ich ostatniej rozmowie.

- Myślę, że wszyscy czujecie się teraz trochę tak jak ja wtedy. Zupełnie jakbym dostał obuchem w głowę.

- Ponownie dotknął blizny na skroni, wykrzywiając twarz. Ostry, pulsujący ból przeszywał mu czaszkę.

- Michael! - Tara zerwała się z kanapy i podbiegła do niego. - Źle się czujesz?

- Nie, nie, już dobrze - rzekł z pogodną miną. - To tylko taka pamiątka sprzed dwóch lat.

- Długich dwóch lat - wtrącił Grant. Bynajmniej nie cieszyło go, że Tara zareagowała w ten sposób.

- Doprawdy, trudno mi wyrazić, jak bardzo cieszymy się, że żyjesz.

- Ale... - powiedział Michael, spodziewając się dalszego ciągu.

Emma zrobiła zakłopotaną, współczującą minę.

- Ale minęły dwa lata, Michael. Dwa długie lata - podkreślił Grant. - Życie zaś toczy się nadal. Życie Tary również.

Michael popatrzył na Tarę, ale nic w jej twarzy nie potwierdzało tych słów. Przynajmniej tak mu się wydawało. Wrócił i był gotowy do walki. O swoją żonę i syna. O swoje małżeństwo.

- Z całym szacunkiem, proszę pana - rzekł, patrząc Grantowi prosto w oczy. - Ale Tara, jak sądzę, nie podjęła jeszcze żadnej decyzji. Kiedy to zrobi, będzie to tylko sprawa między nią i mną.

Sam środek nocy, pora kochanków. Wysokie, jasne ściany skąpane w księżycowej poświacie. Pomięte prześcieradła, ścielące się na podłodze obok łóżka. Sypialnia Tary Connelly Paige w domu jej rodziców...

Tara pogrążona była we śnie. Jedwabna koszula w kolorze ecru zawinęła jej się wokół bioder. Szyja i czoło lekko błyszcząły zroszone potem. Szczupłą dłonią kurczowo ścisnęła pręt zagłówka, niespokojnie wzdychając.

Lewa ręka spoczywała na piersi, tam, gdzie w jej śnie błędziły łakome usta kochanka. Śniła o Michaelu, który pochylony nad nią zamykał ją w ciasnej klatce swoich mocnych, muskularnych ramion. Widziała jego szare oczy pociemniałe z pożądania.

- Michael - wypowiedziała płaczliwie jego imię, błędząc ręką po swoim niespokojnym ciele. - Michael...

Nagle usiadła na łóżku, rozbudzona ze snu własnym wołaniem.

Łapiąc nerwowo powietrze, rozglądała się po pokoju nieprzytomnym wzrokiem. To nie było ich wspólne mieszkanie. To jej sypialnia w Lake Shore Manor. Ta, w której sypiała od dwóch lat, sama.

To był tylko sen. Opadła ciężko na poduszki i zakryła oczy ramieniem, pragnąc jak najszybciej uciszyć swoje serce, uspokoić oddech.

Dookoła niej panował półmrok, a w niej płonące, nurtujące pragnienie.

Michael nie był tylko sennym marzeniem. Przecież miał ciało z krwi i kości. Widziała go wieczorem, rozmawiała z nim, dotykała. Tak bardzo chciała go mieć obok siebie. Tak bardzo, że to aż bolało. Patrzyła bezradnie w sufit i drżała z chęci, żeby do niego zadzwonić, przywołać.

To byłoby takie proste. I takie niewłaściwe.

Łzy napłynęły jej do oczu. Łzy ogromnej ulgi z powodu jego ocalenia. I łzy smutku po nim - te, których nie pozwoliła sobie wypłakać od czasu tej porażającej wiadomości dwa lata temu. Łzy żalu nad tym, co mieli i co stracili.

Cieszyło ją, że Michael był zdrow i cały, ale to, czego pragnął, nie mogło się stać.

Jasne było, że wyobrażał sobie, że wszystko będzie tak, jak dawniej. Przeczesała palcami włosy.

To niemożliwe. Nie mogłaby z nim znów żyć i przechodzić przez to wszystko. Niełatwa była ich miłość i zawsze przynosiła jej wiele cierpienia.

Zaniknęła oczy i przewróciła się na bok. Nie wolno jej się wahać, postanowiła. Sprawa rozwodowa musi się odbyć. W tym wypadku musi postawić na swoim.

W przeciwnym razie wydałoby się, że w gruncie rzeczy jest słaba i bezradna. Zupełnie inna niż ją przedstawiają media.

Pozwala się porywać życiu jak bezwolna łódka fali, bojąc się zaangażować.

Nie przeżyłaby, gdyby i tym razem im się nie udało. Zbyt się bała, aby chociaż spróbować.

Scandalous

ROZDZIAŁ TRZECI

Następnego dnia z samego rana Michael udał się do ekskluzywnego osiedla apartamentowców przy Lake Shore Drive. Zatrzymał się na parkingu dla gości, pod adresem, jaki dostał od Brett, brata Tary, i teraz, oparty o błotnik wypożyczonego bmw, czekał tam na niego.

Rozpościerający się przed nim port w Belmont wyglądał tak, jakby go ktoś namalował. Luksusowe jachty kołysały się na cumach i znaczyły srebrno-białymi żagielkami spokojne wody zatoki.

Poczuł się, jakby miliony mil dzieliły go od soczystej zieleni dżungli Ekwadoru, a jeszcze więcej od biednej dzielnicy miasta, gdzie dorastał, chociaż rzeczywista odległość była nie większa niż dziesięć mil.

- A ile mil musisz pokonać, żeby odzyskać swoją żonę? - powiedział do siebie cicho, wracając myślami do wydarzeń ubiegłego wieczoru,

Tara się zmieniła. Co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Co prawda jego niespodziewana wizytaw sytuacji, kiedy wszyscy myśleli, że on nie żyje, musiała nią wstrząsnąć, ale czuł że chodzi o coś jeszcze.

Odwrócił się, słysząc za sobą trzaśnięcie drzwi samochodu. Z uśmiechem niedowierzania i serdecznego powitania szedł ku niemu Brett Connelly. Michael chwycił wyciągniętą ku niemu dłoń, żeby w tej samej chwili znaleźć się w niedźwiedzim uścisku swojego szwagra.

- A niech mnie! - Brett cofnął się o parę kroków, żeby mu się przyjrzeć śmiejącymi się błękitnymi oczyma. - To naprawdę ty, byku! A już myślałem, że nigdy nie zobaczę twojej paskudnej gęby. Cieszę się, że się pomyliłem.

Michael zawsze, lubił Brett. On i jego brat bliźniak, Drew, byli świetnymi kumplami. W dodatku Brett miał nieco buntowniczą naturę i potrafił zrozumieć jego czasem dość zwariowane wyskoki.

Kiedy wczorajszego wieczoru opuszczał dom Connellych, Emma

zapytała go, gdzie się zatrzymał. Wyczuł, że była gotowa zaproponować, żeby zamieszkał z nimi w Lake Shore Manor, ale Grant zmroził ją wzrokiem.

- Zadzwoń rano do Bretta - powiedziała, nie ważąc się przeciwstawić mężowi.

Na pośpiesznie wyrwanej kartce papieru zapisała numer telefonu do Bretta i wcisnęła mu go do ręki ze znaczącym uściskiem.

- Brett jest już po ślubie - poinformowała go z zadowoleniem. - Ma małego dzidziusia. Razem z Eleną, jego żoną, wprowadzili się niedawno do nowego domu. O ile wiem, jeszcze nie sprzedali ani nie wynajęli mieszkania. Będzie ci tam wygodnie, dopóki nie wyprostujesz swoich spraw.

Tak, Brett wyglądał jak ktoś, komu się w życiu powiodło.

- Gdyby matka nie uprzedziła mnie, że będziesz dzwonił, to chyba na dźwięk twojego głosu padłbym z wrażenia.

- To może szokować, wiem.

- I to jak! Chodź. - Brett położył rękę na ramieniu Michaela i poprowadził go w stronę wejścia do budynku. - Pokażę ci mieszkanie. Jeśli ci się spodoba, jest twoje.

- Doceniam twój gest, Brett.

- Daj spokój. Rodzina jest po to, żeby sobie pomagać.

- No, dobrze, bracie - uśmiechnął się Michael, ujęty serdecznością Bretta. - To może opowiesz mi o swojej nowej rodzinie.

Brett, jaśniejąc z dumy, nie omieszkał opowiedzieć mu o swoim życiu. Kiedy skończył, Michael pogratulował mu szczęścia.

Korzystając z okazji, zapytał o Johna Parkera. Wiedział o nim tylko tyle, ile wyczytał w kronikach towarzyskich.

- O co w tym wszystkim chodzi? Czy on i Tara...?

- Jedno zawsze w tobie podziwiałem, Paige. - Brett spoważniał, wklepując cyfry kodu dostępu przy windzie. - Nie owijasz w bawełnę, ale zmierzasz do sedna. Dobrze, że pewne rzeczy się nie zmieniają.

Drzwi windy rozsunęły się i weszli do środka.

- Parker jest w porządku - odezwał się Brett po chwili zamyślenia. - Sporo starszy od Tary. Cóż - dodał ze smutkiem - ona go nie kocha. Widziałeś się z nią już?

Winda bezszelestnie sunęła do góry.

- Wczoraj wieczorem - odparł Michael.

Tara nie kocha Parkera! Kamień spadł mu z serca. A gdyby było inaczej, czy potrafiłby się zachować jak mężczyzna i odejść, wiedząc, że ona jest szczęśliwa z innym?

Wciągnął głęboko powietrze i już lekkim krokiem podążył za Brettem długim korytarzem, na końcu którego znajdowały się apartamenty.

Brett przekręcił klucz w zamku i pchnął drzwi. Przestronne foyer zaprowadziło ich do dużego salonu, którego ściany z trzech stron były przeszklone od podłogi aż po sufit.

Brett podszedł do okna i jednym przyciskiem automatycznie rozsunął pionowe żaluzje. Widok na jezioro Michigan z wysokości dwunastu pięter zapierał dech w piersiach.

- Nieźle - powiedział z uznaniem Michael, rozglądając się po mieszkaniu.

Część salonu pełniła funkcję jadalni, a zaraz za nią znajdowała się kuchnia.

- Do sypialni tędy - wskazał skinieniem głowy Brett i poszedł przodem. - Są dwie, każda z łazienką. Aha, w podziemnym garażu są wyznaczone miejsca parkingowe.

- Jak ona sobie radzi? - zapytał bez ogródek Michael.

Brett spojrzał mu w oczy, jakby wahając się, co może, a czego nie może mu powiedzieć.

- Cóż, nie jest już tą dawną, przebojową Tarą. Po twojej „śmierci” bardzo się zmieniła. Nie podoba mi się to - dodał. - Jest zbyt wyciszona. Jakby dryfowała. Kocha Brandona, to fakt. Pilnuje go jak oka w głowie. Z drugiej strony, zgubiła gdzieś całą swoją drapieżność. Wiesz, jak zawsze lubiła się droczyć. Wyobraź sobie, że teraz nie umiem jej nawet rozzłościć,

Brett pokręcił głową, nie znajdując żadnego wytłumaczenia.

- Sądzę, a raczej intuicja mi podpowiada, że zgodziła się wyjść za Johna, bo on może zapewnić Brandonowi poczucie bezpieczeństwa. Pewnie wiesz, że Parker jest jednym ze współników ojca.

Michael zacisnął zęby.

- Bardzo nią wstrząsnęła wiadomość o twojej śmierci - ciągnął Brett,

nie spuszczać oczu z Michaela. - Teraz tylko Brandon się dla niej liczy. Tak naprawdę żyje dla niego. Praca w „City Beat” też niewiele ją obchodzi.

- „City Beat”?

- To jeden z najnowszych i największych hitów wydawniczych na rynku. - Brett otwierał drzwi sypialni, pozwalając Michaelowi obejrzeć każdą z nich. - Jedno z tych modnych pism - moda, dekoracja wnętrz, życie miasta... Tara jest konsultantką do spraw wystroju wnętrz. Na pół etatu - dodał. - Nie sądzę, żeby szczególnie ją to pasjonowało. Po prostu wypełnia jej czas.

- Wystrój wnętrz, mówisz? - Michael wsunął głowę do sypialni dla gości.

Tara studiowała projektowanie wnętrz na uniwersytecie w Chicago. Miło było usłyszeć, że do czegoś jej się ten dyplom przydał.

To on nalegał, żeby poszła do college'u, pomimo że w pierwszych latach małżeństwa ledwie wystarczało im na czynsz i jedzenie.

- Tyle tu pokoi - zauważył Michael, zerkając na Brett'a - a wszystkie puste.

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Przydałby ci się dobry dekorator wnętrz - uśmiechnął się Brett.

- Właśnie o tym myślałem.

- Słuchaj, Michael - spoważniał nagle Brett. - Wiem, że przed Ekwadorem trochę się wam z Tarą nie układało. Nie chcę wiedzieć, dlaczego. To wasza sprawa. Ale ona jest moją siostrą, kocham ją. Chcesz ją odzyskać, zadbaj o to, żeby była z tobą szczęśliwa.

- Chcę ją odzyskać i chcę, żeby była ze mną szczęśliwa.

- To mi wystarczy. Czy mogę jakoś pomóc?

- Dzięki za chęci, ale nie sądzę. Sam muszę się tym zająć.

Michael dobrze wiedział, że to sprawa między nim a Tarą.

Tylko jak przekonać żonę, że między nimi może być równie dobrze, jak pięć lat temu?

Chyba jeszcze nigdy nie przejechał piętnastominutowej trasy w tak krótkim czasie. Nadal nie było mu łatwo przystosować się do zawrotnego tempa życia w Chicago.

W Ekwadorze wydawało się, że czas stoi w miejscu. Bardzo mu to

odpowiadało. Od kiedy wrócił do Chicago, zdarzało mu się tęsknić za tamtą ciszą i spokojem. Tylko że tam nie było Tary.

Portier otworzył automatyczną bramę i wkrótce Michael znalazł się na okrągłym podjeździe. Wsiadł z bmw i zapatrzył się na imponującą rezydencję. Wybudowana w klasycznym stylu, mieściła się w najmodniejszej dzielnicy Chicago.

Teraz jednakże nie robiło to na nim takiego wrażenia, jak dawniej. Kiedy zdał sobie z tego sprawę, ogarnął go dziwny spokój. W niczym nie przypominał człowieka, z którym Tara chciała się rozwieść dwa lata temu.

Tamten był żądny władzy. Za wszelką cenę chciał osiągnąć sukces. Ten pałac - i wszystko, co sobą reprezentował - onieśmielał go i irytował.

Nie, zdecydowanie nie był już tamtym mężczyzną. Tara też się zmieniła. Ale nadal była kobietą, którą pokochał i której pragnął.

Jeszcze raz powiódł wzrokiem po rezydencji Connellych i wolno wszedł na schody. Nie wiedzieć czemu, nagle zatęsknił za babcią, za mamą, która, żeby związać koniec z końcem, tak ciężko całe życie pracowała. Umarła na rękach jakiegoś pijanego kierowcy. Michael miał wtedy dziesięć lat.

Otrząsając się ze smutnych wspomnień, zadzwonił do drzwi. Otworzyła mu Ruby i powitała uśmiechem od ucha do ucha.

- No, pierwszy szok już mi minął - zwierzyła się i radośnie go uściskała. - Pan Bóg z góry widzi, jak się cieszę, że znowu jesteś z nami, ty przystojny diable. Cała nadzieja, że ta dziewczyna oprzytomnieje i znowu będzie sobą.

Michael zawsze lubił Ruby. Może była czasem gburowata, ale za to mówiła, co myśli. Także o rodzinnych sprawach Connellych, skoro służyła u nich od prawie trzydziestu pięciu lat.

- A jeśli mi się nie uda, to pewnie nigdy nie dasz mi się porwać w nieznanie. Wiesz dobrze, że zawsze miałem do ciebie słabość.

- A to ci bajerant! - Plasnęła go w ramię. - Idź już do niej. Czeka na ciebie.

Dochodziła ósma pięćdziesiąt. Wczoraj umówili się na dziewiątą. Chciał z nią porozmawiać i zobaczyć się z synkiem.

Uczucie spokoju, jakie wcześniej mu towarzyszyło, nagle go opuściło. Tłumaczył to sobie zmęczeniem.

Pół nocy nie spał, gapiąc się w sufit hotelowego pokoju i rozpamiętując pierwszy prawdziwy dzień swojego zmartwychwstania.

Zmartwychwstanie. Co za słowo! I jakie adekwatne do sytuacji. Od dnia, kiedy wróciła mu pamięć, czuł się zawieszony pomiędzy tym, co było, i tym, co jest. Nic do końca nie działało się naprawdę.

Ale teraz najgorsze było za nim, najlepsze miało dopiero nadejść, a on czuł, jakby się narodził na nowo.

Nerwowo wygładził krawat. Co prawda, nie będzie łatwo ją do siebie przekonać, ale przynajmniej przestanie się już czaić.

Pusty śmiech go ogarniał, kiedy przypominał sobie siebie w ciągu pierwszych dni po powrocie. Śledził własną żonę! Wydzwaniał do niej, a gdy w słuchawce odzywał się jej głos, tchórzliwie się wycofywał. Nie były to najlepsze chwile w jego życiu. Bynajmniej. Nie przynosiło mu chluby ani jego zachowanie, ani stan umysłu. Jedynym usprawiedliwieniem było to, że sam był jeszcze pod wpływem szoku. Powracał do życia przed Ekwadorem.

Znajomy ból przeszył mu skroń. Nie był tak częsty i silny, jak dawniej. Doktor Diamanto powiedział, że z czasem zupełnie ustąpi. Niemniej odezwał się teraz, kiedy wspominał małżeństwo Santiago. Chcieli przyjechać do Chicago, być z nim w pierwszych trudnych chwilach.

- Nie będzie ci łatwo, Miguel - uprzedził Vincente. - Jej zresztą też.

Uśmiechnął się w myślach do tego mężczyzny, który przyjął go pod swój dach, i do jego żony, której uzdrawiające ręce i czułe serce pomogły mu przetrwać najtrudniejszy okres w życiu. To oni, Vincente i Maria, przypomnieli, jak ważna jest miłość i rodzina, jednocześnie sami stając się dla niego rodziną.

Tara i Brandon także byli jego rodziną. Odzyskanie ich stało się ważniejsze niż kiedykolwiek przedtem.

Podziękował serdecznie Santiagom za chęć pomocy, ale nie mógł jej przyjąć. Jak zawsze, zrozumieli.

- Bardzo pragnęlibyśmy ci pomóc. Niemniej szanujemy twoją decyzję- odparł Vincente. - Jedź z Bogiem, mój synu.

Tymczasem Ruby prowadziła go przestronnym foyer. Tęczowe refleksy światła rzucały przez potężny kryształowy żyrandol zwisający z sufitu igrały wesoło na błyszczącej, białej posadzce.

- Niestety, nie jest sama - rzuciła przez ramię Ruby, prowadząc go korytarzem. - Wiesz, jaki jest Grant: dziel i rządź! Ale Emma też tam jest, więc nie będzie tak źle.

- Wszyscy na jednego?

- Stawiam na ciebie, Michael. Jak zawsze, zresztą. Uparty i zadziorny, nigdy nie wiedziałeś, kiedy spasować. Założę się, że teraz też się nie poddasz. - Ruby ścisnęła go za ramię, dodając odwagi, i oddaliła się.

Nie, nie zamierza się poddawać. Wyprostował się, zebrał w sobie i - na chwilę - po prostu się zatrzymał.

Patrzył na jedyną miłość swojego życia i jednego był pewien. Od tego, co powie w ciągu najbliższej godziny, zależeć będzie, czy ją odzyska, czy być może - utraci, ale tym razem na zawsze.

Pokój tonął w ostrym wrześnie słońcu. Tara siedziała nieruchomo w wiklinowym fotelu, jakby zapomniała o całym świecie. Kawa dawno jej wystygła. Bezmyślnie wpatrywała się w urzekające kolorami jesienne kwiaty na patio. Czekala.

Rzuciła okiem na zegarek od Cartiera, zdjęta nagłym poczuciem winy. Dostała go od Johna na dwudzieste piąte urodziny. Im bliżej było dziewiątej, tym większy niepokój i podniecenie ją ogarniały.

Ósma pięćdziesiąt pięć. Michael na pewno się nie spóźni. Zawsze był punktualny, do czasu kiedy zaczął robić karierę.

Wtedy wszystko się zmieniło. W ciągu ostatniego roku przed swoim zniknięciem zawiódł ją niezliczoną ilość razy.

Zwilżyła wargi, policzyła do dziesięciu, ze wszystkich sił próbując uspokoić serce. I tak waliło jak młotem. Nie mogła się doczekać tego spotkania, a jednocześnie bardzo się go obawiała. Wtedy w drzwiach stanęła Ruby, a za nią on. Czekanie dobiegło końca.

Powoli odwróciła głowę. Stał w progu - wysoki, męski, prawdziwy... Ileż to razy marzyła o chwili, kiedy go takim zobaczy? Ileż razy wspomnienia jego głosu, twarzy wypełniały jej myśli, potęgowały tęsknotę za nim? Za tym, który miał nigdy do niej nie powrócić.

Na jego widok zaparło jej dech w piersi. Serce tłukło się w niej jak oszalałe.

Od kiedy pamięta, zawsze tak na nią działał. Od pierwszej chwili, gdy go ujrzała, nie panowała nad swoimi zmysłami. A miała wtedy zaledwie piętnaście lat. Była małą, rozpuszczoną pannicą, która uparła się chodzić do szkoły publicznej, żeby poznać prawdziwe życie.

.Michael Paige był uosobieniem tego, za czym tęskniła. W dniu kiedy zobaczyła go w szkolnej stołówce ze śmiejącymi się szarymi oczyma, bujnymi, kruczymi włosami i wyzywającym uśmiechem zrozumiała, że właśnie od takich kłopotów jej rodzice próbowali ją wybawić.

Zadurzyła się w nim po uszy od pierwszego wejrzenia. Nadal go pragnęła. I dlatego wiedziała, że nie będzie jej łatwo.

Słyszając jego niepewne „dzień dobry”, Emma podniosła się z fotela.

- Michael. - Ujęła go za rękę i ucałowała w policzek. - Wciąż trudno mi uwierzyć - mówiła ciepłym, podekscytowanym głosem.

Ojciec Tary również wstał do powitania, ale bez entuzjazmu. Skłonił chłodno głowę i wyciągnął dłoń.

Michael uścisnął mu rękę i zwrócił się w stronę Tary. Wbił w nią swoje szare oczy, wodząc wzrokiem po jej twarzy, jakby uczył, się jej na pamięć. Wreszcie uśmiechnął się - tym cudownym uśmiechem, od którego serce topniało jak wosk i nogi robiły się jak z waty.

Musiała odwrócić wzrok, żeby nie odpowiedzieć tym samym.

Nie zamierzała się do niego uśmiechać. Chciała się tylko przekonać, że naprawdę jest zdrow i cały, a potem powrócić do swojego dawnego, bezpiecznego życia. Życia pełnego pozorów. Bez niego.

- Świetnie pani wygląda, pani Connelly - rzekł Michael. - Miałem to już wczoraj powiedzieć, ale byłem taki zdenerwowany...

Jego głos brzmiał pewniej i on sam nosił się jakoś bardziej odważnie. Tara zauważyła to zresztą już poprzedniego wieczoru. Przyglądała się mu uważnie, ale nie potrafiła określić, co tak naprawdę się w nim zmieniło.

Przeżycia w dżungli niewątpliwie odcisnęły na nim swoje piętno. Spoważniał i zmęźniał. Sposób, w jaki odnosił się do jej ojca, też był inny. Ani cienia arogancji. Był dojrzały i opanowany. Sprawiał wrażenie kogoś, kto wie, czego chce. A do tego otaczała go pewna aura

tajemniczości...

Tara jednak obiecała sobie, że nie pozwoli się zwieść. To on, nie kto inny, był tak zaślepiony pogonią za sukcesem, że wykluczył ją ze swojego życia, może nawet o tym nie wiedząc.

- Cóż... - Emma przerwała zalegającą w salonie ciszę. Podeszła do Granta i wzięła go pod rękę. - Zostawimy was teraz. Jestem przekonana, że macie sobie wiele do powiedzenia.

- Emmo - zaprotestował Grant z marsową miną. Oczywiście było, że nigdzie się nie wybierał.

- Chodź, kochanie - obstawała przy swoim Emma. Tara nieczęsto słyszała, żeby zwracała się do ojca takim kategorycznym tonem. - Będziemy w bibliotece, gdybyś nas potrzebowała, córeczko.

To zamykało dyskusję. Wychodząc, ojciec rzucił Michaelowi ostrzegawcze spojrzenie, ale sam fakt, że w ogóle wyszedł, zakrawał na jakiś cud.

Tara została z mężem sam na sam. Przez dwa lata tyle różnych spraw się uzbierało. Tyle chciała mu powiedzieć. Ale czy będzie chciał jej wysłuchać?

Michael zwrócił się w jej stronę. Była blada jak ściana. Siedziała ze złożonymi kurczowo rękami. Jej oczy, szeroko otwarte, błyszczące, unikały spotkania jego wzroku. Wydawała mu się taka krucha i bezbronna. W niczym nie przypominała pewnej siebie, przebojowej dziewczyny sprzed dziesięciu lat, kiedy postanowili być ze sobą na dobre i na złe.

- Pamiętam dzień, kiedy po raz pierwszy ujrzałem ten dom - zaczął niepewnie.

Zamiast usiąść obok niej, wziąć ją w ramiona, zmusił się, żeby podejść do okna, skąd rozciągał się widok na pięknie utrzymany ogród.

- Miałem wtedy piętnaście lat i muszę ci powiedzieć, że bogactwo twojego ojca zrobiło na mnie piorunujące wrażenie. Czulem się, jak gdybym przybył z innej planety.

Odwrócił się, żeby na nią popatrzeć. Milczała, nie okazując żadnych emocji.

- Odkąd wróciła mi pamięć, mam wrażenie... Jakby ci to wytłumaczyć? To jest jak kronika filmowa. Odkrywanie nowych klitek

filmu, oglądanie własnego życia z innej perspektywy... Na przykład twój ojciec już mnie tak nie deprymuje jak kiedyś.

- Zauważyłam. - Na ustach Tary pojawił się cień uśmiechu.

Nieco ośmielony, kontynuował:

- Kiedyś za wszelką cenę chciałem mu dorównać - uśmiechnął się.

- A teraz już nie? - zapytała z powątpiewaniem.

- Teraz rozumiem, ile złego wyrządziła moja ślepa ambicja, jak bardzo przez to cierpiałas. Wtedy tego nie dostrzegałem, Taro. - Podniósł rękę w geście przysięgi. - Przysięgam, że nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo cię krzywdzę. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

- Wierzę, że żałujesz - rzekła pojednawczo. - Ale nadal jesteś tym, kim jesteś, Michael.

Zmarszczył czoło.

- Takiego mnie kiedyś kochałaś.

Tara spuściła wzrok na swoje mocno zaciśnięte dłonie. Milczała.

- Taro, co mam zrobić, żeby cię przekonać, że się zmieniłem? Że pieniądze przestały być dla mnie najważniejsze? Że nie chcę już nawet niczego udowadniać twojemu ojcu?

Miał teraz dużo pieniędzy, ale chciał uniknąć nieporozumień. Pieniądze nie miały żadnego znaczenia. Przede wszystkim chciał odzyskać Tarę.

- Pamiętasz naszą pierwszą rozmowę w czytelnicy? W drugim tygodniu szkoły. Chyba z tydzień się do niej przymierzaliśmy. Te wszystkie spojrzenia, uśmiechy... Byłaś księżniczką, a ja tylko biednym chłopakiem. Nie miałem pieniędzy, ale tylko ze mną mogłaś zakosztować prawdziwej wolności, odrobiny szaleństwa.

Zauważył, że te słowa przyciągnęły jej uwagę.

- To wtedy się w tobie zakochałem, Taro. Nadal cię Kocham i nic tego nie zmieni.

Na chwilę przymknęła oczy, a potem zapatrzyła się w okno poza jego plecami.

- Michael, bardzo mi przykro z powodu tego, przez co musiałeś przejść. Tak się cieszę, że żyjesz.

Serce podskoczyło mu do gardła.

- Ale...?

- Ale miłość to za mało. - Zwilżyła wargi, wciąż unikając jego wzroku. - Teraz też nie wystarczy. Przykro mi, ale zamierzam złożyć pozew o rozwód.

Scandalous

ROZDZIAŁ CZWARTY

Michael zacisnął zęby i wbił ręce w kieszenie. Nie chciał wierzyć, że Tara mówi poważnie o rozwodzie. Przecież go kocha. Jego, a nie Parkera.

- Miłość to za mało? - rzucił jej prosto w twarz. - A jak nazwiesz to, co jest między tobą a Parkerem?

Tara podniosła się z fotela i sztywno podeszła do okna, opierając dłoń na szybie.

- To jest to, czego mi trzeba.

- Ale cóż to jest? Jak to się nazywa? Odbicie w oknie zdradzało emocje na jej twarzy.

- Poczucie bezpieczeństwa. Poszanowanie. Pewność jutra.

- To brzmi jak reklama banku - rzekł. Tara znieruchomiała.

- Nie będę... Nie chcę z tobą o tym rozmawiać.

- Kochasz go? - Potrzebował jasnej deklaracji.

- Zależy mi na nim.

- Czy go kochasz? - powtórzył z naciskiem. Przymknęła oczy, pozostawiając pytanie bez odpowiedzi.

- Nie? Dlatego, że nadal kochasz mnie. Podeszedł bliżej i stanął tuż za nią. Jej włosy miały zapach kwiatów, rozgrzanej łąki w letni dzień. Wystarczyło podnieść rękę i dotknąć jej policzka, delikatnej linii szyi...

- W tropikalnych lasach rośnie pewien kwiat. - Delikatnie musnął palcami jej podbródek, wprowadzając jej ciało w lekkie drżenie. - Nie pytaj mnie, jak się nazywa. Nie wiem. Jest fascynujący. O niewyobrażalnie delikatnych, prawie przezroczystych płatkach. Ma niesamowity kolor - kość słoniowa przechodząca w brzoskwinie. Ty mi go przypominasz. Jesteś jak ten kwiat.

- Michael, proszę cię...

- Ty drzysz - zauważył cicho, odwracając ją ku sobie. Przytrzymując ją za ramiona, zmusił, żeby spojrzała na niego. Koniuszkiem palca dotknął jej skroni. - Czuję, jak mocno bije ci serce.

Jedną dłonią przeciągnął wzdłuż jej ramienia i splótł ich palce.

- Moje też. - Przyłożył sobie jej rękę do piersi. - Poczuj, co się ze mną dzieje, przez ciebie, Taro...

- Przestań - przerwała mu z lekkim szlochem. Jej oczy zapłonęły, ale wyrwała się z uścisku i stanęła w bezpiecznej odległości. - Chcesz, żebym ci powiedziała, że nie tęskniłam za tobą? Że nie brakowało mi ciebie, twojego ciała? Otóż, brakowało! Przez cały ten czas, każdego dnia i nocy. To się nie zmieniło - mówiła poirytowana, wstydząc się własnej słabości.

- Nie musimy już za sobą tęsknić. Możemy być razem.

- Seks nie rozwiązał żadnego z naszych problemów. - Powstrzymała go znaczącym gestem ręki, widząc, że chce się do niej zbliżyć.

- Między nami było coś więcej, nie tylko seks.

- Zgadza się z tobą. Była też złość, niechęć i rozczarowanie.

- Taro...

- Nie, pozwól mi dokończyć. Byliśmy młodzi. To nie w sobie się zakochaliśmy, ale w swoich ideałach, wyobrażeniach o sobie.

- Ja dobrze wiedziałem, kim jesteś.

- Ja za to wiedziałam, że to nie mnie potrzebowałeś.

- Zawsze tylko ciebie - zapewnił, robiąc krok w jej stronę. - Wciąż cię potrzebuję.

- Nie, Michael. To, czego chciałeś, to być kimś. Ja w tym wszystkim byłam na szarym końcu.

- Tak, wiem. - Przeczesał włosy palcami, nie znajdując niczego na swoje usprawiedliwienie. - Teraz to wiem. Musisz uwierzyć, że nie jestem już tym samym człowiekiem, z którym chciałaś się rozwieść dwa lata temu.

Tara uśmiechnęła się smutno.

- Ja też nie jestem tą samą kobietą, którą wtedy opuściłeś.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się jej, nie bardzo wiedząc, jak ma rozumieć jej słowa.

- A czy lubisz w sobie tę nową kobietę? - zapytał.

- Czy ją lubię? - parsknęła. - Michael, ja nawet nie wiem, kim ona jest. - Skrzyżowała ramiona, przytrzymując się za łokcie. - Jedno wiem na pewno: nie przeżyłabym tego kolejny raz.

- Przeżyła? Taro, na litość boską, o czym ty mówisz? Przecież tu nie chodzi o jakąś próbę wytrzymałości.

- Nie? Jesteś pewien? - zapytała ironicznie i zaraz dodała: - Nie będę ci utrudniać kontaktów z Brandonem. Dziecko potrzebuje ojca.

- A ja potrzebuję jego mamy - wyrwało mu się. Gdzie się podziała jego duma, ambicja? Jakoś przestało to mieć dla niego znaczenie.

Tymczasem Tara patrzyła na niego chłodno. Mówiła opanowanym, pozbawionym emocji głosem.

- Przepraszam cię, Michael. Jak już mówiłam, cieszę się, że cię widzę, że żyjesz, ale nie mogę już być twoją żoną.

- Ale żoną Parkera możesz - wycedził rozgoryczony, nie próbując ukryć rozczarowania.

Tara odwróciła wzrok.

Michael nie mógł się pogodzić z tym, co mówiła ta zimna, pozbawiona uczuć kobieta. Tęsknił do dawnej Tary. Musi ją mieć z powrotem!

Zdeterminowany, drżący z emocji, przyciągnął ją gwałtownie do siebie.

- A czy on może ci to dać? - Wpił się w jej usta, desperacko przywierając do niej całym ciałem. Dotykał jej, napawał się jej bliskością, smakiem jej ust tak, jakby świat miał się skończyć. Tara w jednej chwili poddała się tej fali namiętności, wspólnemu nienasyconemu pragnieniu.

- Tara - wyszeptał ostatkiem tchu, podnosząc głowę i zaglądając w jej fioletowe, błyszczące z podniecenia oczy. - Zabierz mnie gdzieś. Gdziekolwiek, gdzie możemy być sami.

W tej samej chwili rozległy się za nim czyjeś kroki.

Tara rzuciła przestraszone spojrzenie nad jego ramieniem, zbladła i położyła dłonie na jego piersiach, próbując go odepchnąć. Michael jednak trzymał ją mocno.

- Taro? - Michael zeszywniał, słysząc obcy, męski głos.

- John - odpowiedziała, na próżno starając się ukryć zażenowanie.

Tym razem, kiedy drząc cała spróbowała wyswobodzić się z jego uścisku, Michael nie protestował. Odwrócił się i zmierzył przybysza wzrokiem. Po pięćdziesiątce, dobrze ubrany, zamożny. Zimna ryba!

Spojrzał na Tarę. To tego chcesz? - pytał oczami. - Jego pragniesz?

- Wszystko w porządku? - zapytał John Parker. Michael zacisnął nerwowo szczęki, przyjrzał się uważnie żonie, a następnie wyciągnął rękę w stronę mężczyzny.

- Chyba się jeszcze nie znamy - powiedział chłodno. - Michael Paige, mąż Tary. - John Parker. - Mężczyzna udał, że nie widzi wyciągniętej dłoni. - A to moja narzeczona.

- To bardzo ciekawe - odparł Michael z wymuszonym uśmiechem. - Zwłaszcza że nie mamy jeszcze rozwodu.

- Przestań. - Tara stanęła pomiędzy nimi. - Proszę, daj spokój.

- W porządku, kochanie - odezwał się Parker, uśmiechając się do niej demonstracyjnie. - Nie mam zamiaru robić scen. Nie chcę cię denerwować. Jestem przekonany, że pan Paige też potrafi rozmawiać w cywilizowany sposób.

- Pan Paige - rzekł Michael ironicznym tonem - prowadził właśnie taką rozmowę z panią Paige, kiedy nam pan przeszkodził.

Parker wyniośle westchnął.

- Ojciec niepokoił się o ciebie, kochanie.

Michael postanowił nie dać się sprowokować. Odwrócił się w stronę Tary i wziął ją za rękę. Były bardzo chłodne.

- Dokończymy naszą rozmowę później - powiedział pełnym czułości głosem i ucałował ją w czoło.

- Idę zobaczyć się z Brandonem.

Nie czekając na reakcję, objął Parkera ramieniem, jak gdyby byli starymi, dobrymi kumplami, i poprowadził do wyjścia.

- Byłeś w Ekwadorze, Parker? - zapytał. - Zadziwiający kraj! Pod wieloma względami bardzo rozwinięty, ale bywa, że zaskakująco prymitywny. Nie wyobrażasz sobie, na przykład, jaki sposób znaleźli na kłusowników...

- Czy strony do korekty już gotowe? - zapytała Tara, sięgając do szuflady po marker i zaznaczając fragment tekstu do opracowania.

- Chyba tak. Chwileczkę, sprawdzę.

Chloe Chandler, jej asystentka, energiczna i pewna siebie absolwentka college'u, niemal wybiegła z pokoju.

Po porannej wizycie Michaela Tara czuła się rozkojarzona i rozbita. Trudno było jej się skupić na pracy.

- Proszę, oto one. - Chloe podała jej papiery z promiennym uśmiechem, potrząsając burzą błyszczących, miodowoblond włosów. - Wyglądają świetnie. Zdjęcia sypialni na pewno się pani spodobają.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. - Chloe zawinęła się na pięcie, żeby wyjść z pokoju, kiedy niespodziewanie coś ją zatrzymało. - Ojej, przepraszam,.. Nie słyszałam, jak pan wchodził. Czy mogę w czymś pomóc?

- Dziękuję, nie trzeba. Znalazłem to, czego chciałem.

Tara zastygła nad biurkiem. Ten głos rozpoznałaby wszędzie. Podniosła głowę i napotkała pogodne oczy Michaela. Chloe, zazwyczaj rezolutna i wygadana, wyglądała, jakby wrosła w podłogę. Cała w pasach wpatrywała się niego.

- Cześć - powiedział wesoło. - Nie w porę? Dobrze sobie! Zawsze, kiedy się pojawiał, były jakieś kłopoty.

- Ależ skądże! - rzekła Tara i zaczęła pieczołowicie układać papiery, żeby nie dać po sobie poznać zdenerwowania.

- To świetnie. Pomyślałem, że zabiorę cię gdzieś na lunch.

- Lunch?

- Lunch. Taki posiłek pomiędzy śniadaniem i kolacją. - Puścił oczko do Chloe, która omal nie rozplynęła się z wrażenia. - Nawet... - przerwał, żeby sprawdzić plaketkę na drzwiach. - Nawet redaktorzy działu mają przerwy na lunch, prawda, panno...? Przepraszam, nie dosłyszałem nazwiska.

- Eeee, Chloe. - Zmitygowała się Chloe. - Chloe Chandler. Właśnie miałam wyjść. Przepraszam.

Zanim zniknęła, odwróciła się do Tary i upewniając się, że Michael nie może jej zobaczyć, zamachała ręką i ruchem warg przekazała: Ale gorący facet!

Tara starała się zachować spokój, co nie było łatwe. Na jego widok jej serce zawsze zaczynało mocniej bić, oddech stawał się płytki, wilgotniały dłonie.

Michael miał na sobie cienkie, wypłowiałe džinsy i kremowy sweter w szpic. Podciągnięte rękawy od-słaniały silne, opalone przedramiona lekko porośnięte ciemnymi włosami. Takimi samymi, które wyzierały z rozcięcia przy szyi. Przypomniła sobie, jak się nimi kiedyś bawiła, wodząc palcami po jego torsie, a potem schodząc w dół ku sprężystemu brzuchowi i nieco niżej... Dość. Przywołała się do porządku.

- Zdaje się, że miałeś spędzić ten dzień z Brandonem.

- Zgadza się. Jedna z pań pracujących w recepcji - chyba Marcie - porwała go ode mnie na chwilę i nie chce oddać. Niezły czaruś z naszego syna.

Nasz syn.

Na chwilę wstrzymała oddech i chociaż starała się o tym nie myśleć, musiała przyznać, że te dwa wyrazy miały swoje niezwykle znaczenie w tej sytuacji.

- Dogadaliście się jakoś? - zapytała.

- I to bardzo dobrze. - Skrzyżował ramiona na piersiach i oparł się o framugę drzwi. - Świetnie go wychowałeś, Taro.

Spuściła wzrok na swoje nerwowo splecione dłonie. Chwyliła ołówek, jakby chciała coś zanotować, ale wypadł jej z ręki, a kiedy próbowała go złapać, wylądował na podłodze.

- Hej, spokojnie - powiedział miękko Michael. Podeszedł i schylił się, żeby go podnieść. - Uwierz, nie przyszedłem, żeby wywierać na ciebie jakąkolwiek presję. Chciałem cię tylko znowu zobaczyć i przeprosić za swoje zachowanie dziś rano. To wciąż jest dla mnie takie trudne. Bywa, że nachodzi mnie... Zresztą, nieważne. W każdym razie, przepraszam. Nie miałem zamiaru cię wystraszyć.

- Nic takiego się nie stało - skłamała.

Prawdą było, że wzbudzał w niej lęk. Czowała się przy nim bezbronna. Na jego spojrzenia, dotyk jego rąk, ust.

- To dobrze. Nie chciałbym sprawiać ci jakiegokolwiek przykrości. Przyszedłem, bo chciałem się z tobą zobaczyć. Wiem, że Brandon też. No i byłem przekonany, że ty z kolei zechcesz zobaczyć Brandona. To w sumie daje aż trzy ważne powody, dla których teraz tutaj jestem.

Uśmiechnęła się, słysząc to pokrętne tłumaczenie.

- No to - ciągnął wesoło Michael - zjesz z nami lunch?

Propozycja była kusząca i choćby z tego względu musiała z niej zrezygnować.

- Obawiam się, że dzisiaj to niemożliwe. Mam bardzo napięty plan zajęć.

- Już nie. - W drzwiach pokazała się głowa Chloe.

- Przepraszam, nie miałam zamiaru podsłuchiwać. - Zrobiła zakłopotaną minę. - Przechodziłam tylko. Zebranie działu sztuki zostało przełożone na jutro, tak że ma pani wolne przedpołudnie, a w zasadzie cały dzień.

Chloe szczebiotała wesoło, dopóki nie dostrzegła lodowatego spojrzenia Tary.

- No, cóż... - urwała. - Muszę jeszcze wprowadzić dane - powiedziała niepewnie, znikając za drzwiami.

Michael promieniał z radości.

- Wygląda na to, że jesteś wolna jak ptak. To tylko lunch, Taro. - Spoważniał. - Obiecuję, żadnej presji.

Gdybyż to było takie proste! Tylko lunch. Ale w jej życiu nic już nie będzie proste. Wypada jej do tego przywyknąć.

- Ubiorę się - powiedziała zrezygnowana. Wstała zza biurka i podeszła do wieszaka.

Pojawienie się Michaela w redakcji wzbudziło sporą sensację. Kiedy przechodzili korytarzem, za ich plecami dały się słyszeć stłumione szepty.

- To on.

- Kto?

- Michael Paige. Jej mąż.

- Przecież on nie żyje.

- No wiesz, jak na umarlaka to całkiem do rzeczy. Spójrz tylko na jego...

Przy wyjściu Michael otworzył drzwi i puścił Tarę przodem.

Podtrzymując Brandona na biodrze, odwrócił się jeszcze, uśmiechając na pożegnanie. Panie w recepcji w popłochu zaczęły udawać, że są bardzo czymś zajęte. Tylko jedna odważyła się na podniesienie kciuka w geście pełnej aprobaty.

Życzliwość, z jaką się spotkał w redakcji, wprawiła go w dobry

nastrój. Wiedział, że taktyka, jaką obrał, była słuszna. Nie będzie się spieszył. Będzie ją konsekwentnie, aczkolwiek nie nachalnie, adorował. Dwa lata temu nie miałby tyle cierpliwości. Ale teraz tak. Miał atut, którego brakowało Parkerowi. Wspólną przeszłość - mniejsza o to, czy lepszą, czy gorszą - i niezwykłą determinację, żeby odzyskać to, bez czego jego życie byłoby pozbawione sensu.

- Dokąd jedziemy? - zapytała Tara, kiedy zapięli Brandona w foteliku na tylnym siedzeniu samochodu.

- Na piknik - odpowiedział wesoło Michael, rzucając okiem we wsteczne lustro. - Dobry pomysł, prawda, szkrabie?

Nie posiadał się z radości, mogąc patrzeć w szare oczy chłopca.

Ich syn to istny cud świata!

- Co ty, Michael - strofowała go. - Za zimno dzisiaj na piknik. Do tego ten porywisty wiatr...

- Bez obaw. - Uśmiechnął się tajemniczo. - Wszystko pod kontrolą.

I tak właśnie się czuł. Mając swoich najbliższych przy sobie i jasno określony cel, łagodnie włączył się do ruchu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Dwadzieścia minut później zajechał na osiedle przy Lake Shore Drive.

- Brett mieszkał w tym bloku - zauważyła Tara.
- A teraz mieszkam tu ja - rzekł Michael, wjeżdżając do podziemnego garażu. - Wynajmuję to mieszkanie.

Zauważył, że Tara zrobiła się niespokojna, więc szybko wyjaśnił:

- To dobre rozwiązanie. Brett nie znalazł jeszcze kupca, a ja nie przepadam za mieszkaniem w hotelu. Wprawdzie tam nie trzeba sprzątać, ale zdecydowanie wolę być u siebie.

Wziął Brandona na ramię, a w drugą rękę kosz z jedzeniem, jaki przygotowała dla nich Ruby.

Tara szła obok niego, nie mówiąc ani słowa. Może myślała o ich pierwszym mieszkaniu?

Ilekcroć zdarzało mu się przejeżdżać koło tamtego miejsca, stawały mu przed oczyma sceny z przeszłości. Bardzo lubił te wspomnienia.

Byli zaledwie tydzień po ślubie. Mieszkali kątem u Seta, dopóki z wielkim trudem nie udało mu się zebrać dość pieniędzy, żeby wystarczyło na kaucję i pierwszy czynsz. Chodziło o to, żeby Tara miała blisko na zajęcia na uniwersytecie w Chicago.

Michael z niepokojem obserwował jej reakcję, kiedy stanęli na progu wąskiego, obskurnego korytarza na czwartym piętrze, wiodącego do ich mieszkania. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny. Z drzwi wejściowych dużymi płatami schodziła wypłowiata, szara farba.

Tara przykleiła do twarzy pełen radości uśmiech, za którym próbowała ukryć swoje przerażenie.

Kiedy przekręcił klucz w zamku i otworzył przed nią drzwi ich mieszkania, jej oczom ukazał się niewielki pokój z jedną nieosłoniętą

żarówką, żałośnie zwisającą z popękanego sufitu. W kącie stała ogromna, stara lodówka i maszyna do gotowania z niebezpiecznie pokręconym sznurem.

- Intymne - powiedziała po chwili napiętego milczenia. Rozglądała się szeroko otwartymi oczyma, ani na moment nie przestając się uśmiechać. - Takie... takie małe gniazdko.

Miała osiemnaście lat. Wychowała się w domu, gdzie przywykła do służby i nieograniczonego kredytu. Prawdopodobnie nigdy w życiu nie posłała łóżka. Co najwyżej umiała ugotować wodę. I nagle z luksusu została przeniesiona do slumsów.

Nigdy nie kochał jej bardziej jak w tamtej chwili. Wziął ją na ręce. Ta przepiękna dziewczyna o fiołkowych oczach mogłaby mieć każdego, a wybrała właśnie jego. Uwielbiał w niej ten wewnętrzny ogień, temperament, zapał, z jakim była gotowa chronić tych, których kochała. Tak jak jego w tamtej chwili - przed swoim własnym rozczarowaniem.

- To tylko na pewien czas - obiecał i przeniósł ją przez próg.

- Nie przejmuj się. Wreszcie jesteśmy u siebie. Bardzo mi się tu podoba.

- Nie może ci się podobać. - Roześmiał się, przytulając czoło do jej twarzy. - To paskudna nora.

- Nieprawda - zarzekała się. - Urządzimy sobie tutaj nasz dom. Nasze gniazdko.

Tej nocy kochali się na podłodze. Z trudem zmieścili się w jego śpiworze, który razem ze starym radiem był ich jedynym własnym sprzętem w tym pokoju.

- Kocham cię, Taro Paige - szeptał do niej, wtulony w jej nagie, rozpalone ciało. - Nigdy nie będziesz żałować, że za mnie wyszłaś.

Nie podnosząc powiek, uśmiechnęła się sennie do niego i oplótła go nogami.

- Kocham cię, Michael. Zawsze cię będę kochać. Cokolwiek się stanie.

Ich pocałunkom, długim, namiętym, nie było końca, a on pławiąc się w pieścocie, kochał ją całym sobą, całą swoją duszą.

Następnego dnia rano dał jej ostatnie sto dolarów, jakie miał przy sobie.

- Musi nam wystarczyć aż do dnia wypłaty, kochanie. Na całe długie pięć dni.

Wieczorem, kiedy wrócił do domu, już od progu przywitał go smakowity zapach, sączący się z ich mieszkania. Drzwi pomalowane były świeżą ciemno-fioletową farbą, ale jeszcze większe zaskoczenie czekało go w mieszkaniu. Mógłby pomyśleć, że pomylił drzwi, gdyby nie to, że była tam jego świeżo poślubiona żona. Z błyszczącymi z podniecenia oczyma niecierpliwie oczekiwała jego reakcji.

Do niedawna nagą, smutno zwisającą żarówkę okrywał teraz kolorowy papierowy abażur. Pośrodku pokoju stała niewielka kanapa, okryta szaroniebiesko-wrzosową narzutą w kwiatowe wzory, a po obu jej stronach dwa używane stoliki z drewna, pomalowane na granatowo. Sznurkowy dywan zakrywał brzydkie, szare płytki posadzki. We wszelkich możliwych miejscach płonęły niezliczone kremowe świece różnych kształtów i rozmiarów, rozświetlając wnętrze jasnym, migotliwym światłem.

Był przyjemnie zaskoczony. Uśmiechnął się do niej, nie mogąc jednocześnie opędzić się od myśli, że to wszystko musiało kosztować co najmniej sto dolarów.

- Jest pięknie - powiedział mimo obaw.

- Nasze mieszkanie - odparła entuzjastycznie. Po czym wręczyła mu zwitek banknotów i rzuciła się w jego ramiona. - Zostało jeszcze trzydzieści parę dolarów.

- Jak to możliwe? - zamrugał z niedowierzaniem powiekami.

- Zadzwoiłam do Ruby - oznajmiła i podbiegła do kanapy, wygładzając pieśczołliwie narzutę. - Powiedziałam jej, że muszę kupić parę rzeczy. Ach, Michael! Byłam w kilku absolutnie odlotowych miejscach! Małe targowiska ze starociami, sklepiki z używanymi rzeczami i takie, gdzie jest mnóstwo wyprzedaży. Bardzo dużo jest tego w Chicago.

- Tara Connelly na pchlim targu? - Uniósł kąciki ust w uśmiechu powątpiewania i dumy zarazem.

- A żebyś wiedział - odpowiedziała rozgorączkowana. - Odkryłam, że mam talent do tanich zakupów i potrafię nawet coś utargować.

- Ty - rzekł, pociągając ją ku sobie - masz wielki talent do uszczęśliwiania. Dzięki tobie jestem najszczęśliwszym facetem na

świecie.

- Nie mów hop, dopóki nie spróbujesz mojego sosu. - Zarzuciła mu ręce na szyję. - Przeszłam błyskawiczny kurs kulinarny u Ruby i zrobiłam go tyle, że wystarczy do końca tygodnia, więc lepiej niech ci smakuje.

- Ty mi smakujesz. - Pocałował ją, ześlizgując się rękami po jej smukłym ciele, aby zatrzymać się na krągłych, jędrnych pośladkach.

- Gdybyś nie wiedział, mamy teraz kanapę - zauważyła, odczytując jego zamiary.

- Mhm - mruknął, ściągając jej koszulkę i siłując się z biustonoszem.

- Bardzo ładna. - Wyswobodził ją z dżinsów. - A kto ją tu wniósł?

- Seth i Brett. Jest rozkładana. Zmierzył ją pełnym podziwu wzrokiem.

- A nie mówiłem, że mam wyjątkowe szczęście? - rzekł. - Zaraz sprawdzimy, czy się nadaje.

Dzwonek windy zasygnalizował, że są już na górze. Drzwi rozstały się przed nimi automatycznie, przywracając Michaela rzeczywistości.

- No i jesteśmy na miejscu - powiedział, prowadząc ją korytarzem i przekręcając klucz lekko drżącą ręką. - Dwa kroki stąd jest tamto małe mieszkanie przy ulicy Front.

Pozwolił sobie zatrzymać dłużej wzrok na jej twarzy. Nie miał wątpliwości, że też myślała o tym miejscu. Mieszkanie było ciasne, brzydkie, musieli walczyć z karaluchami, kanalizacja ciągle się psuła albo zapychała, ale przeżyli tam najszczęśliwsze chwile swojego małżeństwa.

- Witaj w moich skromnych progach. - Zrobił zapraszający gest ręką, puszczając ją przodem. Następnie postawił kosz z jedzeniem na blacie i Brandona na podłodze.

- Miło, prawda?

- Miło i pusto. - Zatrzymała się przy wejściu, jakby wahała się, jak daleko może wejść do tego mieszkania i, w pewnym sensie, do jego życia.

- No właśnie, przyszło mi do głowy, że mogłabyś mi w tym trochę pomóc - powiedział mimochodem i zaczął rozpakowywać kosz z jedzeniem.

Tara odwróciła się gwałtownie w jego stronę, jakby chciała zaprotestować, ale Michael ją uprzedził.

- Mam nadzieję, że Brandon będzie mnie często odwiedzał. Chciałbym, żeby było mu tu dobrze, a co tu ukrywać, o potrzebach dzieci nie mam pojęcia. W tym względzie bardzo na ciebie liczę. A przy okazji, sama widzisz, potrzebna jest mi pomoc dekoratora wnętrz.

Tara zagryzła wargi, wodząc oczyma za Brandonem, który dreptał po salonie jak po swoim nowym, wielkim placu zabaw.

- Oczywiście, zapłacę, ile będzie trzeba - dodał Michael, ciekawy jej reakcji.

- Zapłacisz mi?

- Koszty nie grają roli. W jeden dzień potrafiłaś zamienić obskurny pokój w pałacowe wnętrze. Wyobrażam sobie, jakich cudów mogłabyś dokonać tutaj, przy nieograniczonym budżecie.

- Nieograniczonym?

Uśmiechnął się. Znał ją dobrze. Wiedział, że Tara w najmniejszym stopniu nie jest materialistką, ale jego słowa rozbudziły w niej ciekawość.

- Mamy wino - zakomunikował, żeby zmienić temat - i mleko dla mojego specjalnego gościa.

Brandon, przytrzymując się szafki, podszedł do niego i ze śmiechem objął go za nogi. Michaela uderzyła myśl, jak niezwykle cenna była obecność synka w jego życiu. Pochylił się nad dzieckiem i wziął je w ramiona, aby z czułością przytulić do serca.

- Jest taki wspaniały, Taro - powiedział z zachwytem. - Absolutnie doskonały.

Brandon zaczął się wiercić w jego objęciach. Pełne niespożytej energii małe ciało, jego ciekawski umysł domagały się wolności, aby dalej penetrować nieznane terytorium.

Michael postawił go na podłodze, z lekkim klapnięciem w pupę. Wolno się wyprostował i, nie patrząc Tarze w oczy, grzebał w koszu w poszukiwaniu korkociągu. W milczeniu odsłaniał szyjkę butelki.

- Nie potrafię znaleźć słów, żeby opisać to, co czuję, kiedy na niego patrzę, kiedy trzymam go na rękach. - Przełknął ślinę i potrząsnął głową.
- Dopada mnie czasami myśl, jak wiele straciłem przez to, że mnie tu nie

było.

Wyciągnął korek i przez chwilę stał zapatrzony w ścianę. Po czym odwrócił się do niej z poważną miną.

- Obiecałem sobie, że o to nie zapytam. - Pokręcił głową, prowadząc wewnętrzną walkę. - Czy ty wiedziałaś? Czy wiedziałaś o nim, kiedy wyjeżdżałem?

Tara powoli zdjęła płaszcz i przewiesiła go sobie przez ramię jak ochronną tarczę.

- Nie, nie wiedziałam. Myślę, że to się stało ostatniej nocy - odparła spokojnie.

Michael zastygł w bezruchu, dotąd świdrując jej twarz wzrokiem, aż ich spojrzenia się spotkały. Myślała o tym samym. Bładość jej skóry pod czarną koronką. Jego niecierpliwe ręce na jej złaknionym pieszczoty ciele.

Policzki Tary oblały się rumieńcem i odwróciła wzrok. Podeszła do okna i zapatrzyła się na panoramę portu.

Szalona pożegnalna noc. Noc namiętności i gniewu. Miała do niego żal. Nie wiedział, że zażąda rozwodu. Dla niej miała to być naprawdę ich ostatnia noc. Dla niego też.

- Czy ty i Parker... sypiacie ze sobą? - zapytał niespodziewanie, sam zaskoczony tym śmiałym pytaniem. - I proszę, nie mów mi, że to nie moja sprawa. Jesteście kochankami?

- Nie - odparła po chwili milczenia. - Nie jesteśmy kochankami.

Odetchnął z ulgą i przymknął oczy, aby się uspokoić. Drżącą ręką napenił kieliszki, i podszedłszy do niej, podał jeden z nich.

- Za przyszłość - rzekł, czekając, aż Tara podniesie kieliszek i wychyli toast.

Za nas, dodał w myślach, pełen nadziei, że to się kiedyś spełni. Toast za przyszłość wydawał się Tarze nie na miejscu. Nie potrafiła jeszcze myśleć ani rozmawiać o przyszłości. Jeszcze nie teraz. Dużo bezpieczniejsze wydawały się przeszłość i teraźniejszość.

- Długo cię z nami nie było, Michael - powiedziała. - Wiele się wydarzyło w naszej rodzinie i chyba powinieneś o tym wiedzieć.

Była wprawdzie zdecydowana przeprowadzić sprawę rozwodową do końca, ale prawnie nadal byli mężem i żoną. Michael miał prawo

wiedzieć, co się dzieje, bez względu na to, jak trudno mu się będzie z tym pogodzić.

Sama nie o wszystkim wiedziała. Znając ojca, podejrzewała, że w trosce o spokój swojej rodziny nie o wszystkim ich informuje.

- Domyślam się, że wiele się wydarzyło, a sądząc z wyrazu twojej twarzy, musieliście mieć jakieś przykre przeżycia. Proszę, opowiadaj.

Tara upiła łyk wina.

- Zacznę od tego, że w grudniu ubiegłego roku mój dziadek i wujek Mark...

- Zginęli - wtrącił Michael. - Mój Boże! Pamiętam, że o tym czytałem. W jakiś sposób te nazwiska wydawały mi się znajome, ale nie umiałem sobie tego wytłumaczyć. Gazety w Ekwadorze, a myślę, że i na świecie, rozpisywały się o tym, że król Thomas Rosemere i jego syn, Mark, księżę Altarii, zginęli w... Co to było? W wypadku na morzu, prawda? Och, Tara! - Podszedł do niej wstrząśnięty, wziął za ręce i przytulił do siebie. - Tak mi przykro. Twoja matka musiała być zdruzgotana tą wiadomością.

Tara objęła go w pól. W tych okolicznościach pozwoliła sobie na chwilę słabości. Michael był ciepły, silny. Stanowił mocne oparcie. Tak bardzo jej go brakowało.

I to się nigdy nie zmieni, poraziła ją nagła myśl. Cofnęła ręce, opasała się ramionami w tali i podeszła z powrotem do okna.

- To było przykre. Zwłaszcza kiedy się okazało, że ich śmierć nie była przypadkowa.

- To nie był wypadek? Co ty mówisz?! Westchnęła ciężko i odwróciła się w jego stronę.

- Zostali zamordowani. Poczekaj... - Zrobiła powstrzymujący gest ręką, kiedy chciał jej przerwać. - Wszystkie fakty wskazują na to, że to było morderstwo, ale to nie wszystko. Kiedy, zgodnie z prawem Altarii, najstarszy syn mojej matki, Daniel, zasiadł na tronie, jego też ktoś usiłował zabić.

- Daniela? Dobry Boże! Przeżył?

- Tak, żyje - zapewniła i schyliła się, żeby wziąć Brandona na ręce.

Dziecko musiało wyczuć panujące w pokoju napięcie, bo straciło ochotę do zabawy. Podeszło do niej z wyciągniętymi rączkami. Tara

przytuliła chłopca do siebie, pocałowała w główkę i pokazała mu łodzie w porcie, żeby zająć czymś jego uwagę.

- To twój brat został królem - powtórzył zaszokowany Michael.
- Wszystko wskazuje na to, że dobrym. Jest też dobrym mężem - podkreśliła z uśmiechem. - Jego obowiązki w Connelly Corporation przejął Justin.

- Justin? Pewnie mi powiesz, że też się ożenił.
- Jeszcze nie, ale on i Kimberly są zaręczeni. Alex i Philip - ten z kolei jest księciem Silverdornu - też są po słowie. Szykuje się wielka uroczystość.

W ich przypadku - przypomniała sobie chłodny, wiosenny wieczór - pojechali do Missouri i obudzili sędziego pokoju. Sarkał trochę, ale w końcu zgodził się udzielić im ślubu. Lepiej dla niej, jeśli nie będzie teraz o tym myślała.

- Zapewne wiesz już o Bretcie i Elenie. No i są jeszcze Drew i Kristina... - wyliczała.

- Nie wiem, co powiedzieć. - Pokręcił z niedowierzaniem głową.
- No to lepiej usiądź, bo to nie koniec rewelacji. Niewiele myśląc, Michael skrzyżował nogi i usiadł po turecku na podłodze.

- Okazało się, że oprócz braci bliźniaków, Bretta i Drew, mamy jeszcze Chance'a i Douglasa. Do ubiegłej zimy nikt o nich nie wiedział, nawet mama i ojciec. Zanim ojciec poznał mamę, był związany z kobietą o nazwisku Hanna Barnett. Rozstali się, zanim Hanna dowiedziała się, że jest w ciąży. Z sobie tylko znanych powodów nie powiadomiła ojca, że masynów. Im też nie wyjawiała, kto jest ich ojcem. Gdyby nie wścibski dziennikarz, sprawa w ogóle nie wyszłaby na jaw. Nie miałam dotąd okazji, żeby ich bliżej poznać. Doug jest lekarzem. Wkrótce on i jego żona, Maura, zostaną rodzicami. Chance służy w marynarce, w oddziałach do zadań specjalnych. On i Jennifer mają córeczkę o imieniu Sarah. Jest niewiele starsza od Brandona.

Michael z trudem nadązał za tym, co opowiadała Tara. W końcu wybuchnął nerwowym śmiechem.

- Nie do wiary! To tylko Seth, Rafe i Maggie są jeszcze wolni, tak? A może oni też założyli rodziny, kiedy mnie nie było?

Tara uśmiechnęła się, z czułością myśląc o swoim rodzeństwie.

- Prawdę mówiąc, nie bardzo umiem sobie wyobrazić Seta czy Rafe'a w rolach mężów. Seth ma ostatnio trudny okres w życiu. - Jej głos posmutniał. - Trochę się o niego martwię. A Rafe? Cóż, jemu odpowiada kawalerskie życie. Maggie też chyba szybko się nie zwiąże. Żyje sztuką i dla sztuki. Muszę też wspomnieć o mojej kuzynce Catherine, córce wujka Marka. Chyba widzieliście się w któreś święta Bożego Narodzenia. Wyszła za szejka Kaj al bin Russarda. To historia jak z „Baśni Tysiąca i Jednej Nocy”.

Michael zamyślił się. Wreszcie podniósł się z podłogi i widząc, że zrobiło się jej trochę niewygodnie, wziął Brandona na rękę.

- Mówiłaś, że twój dziadek i wuj zostali zamordowani i że był też zamach na Daniela. O co tu chodzi? Czyżby szykował się przewrót w Altarii?

- Nie, nic z tych rzeczy. W Altarii nigdy nie było niepokojów społecznych.

- Więc jaki był powód?

- W tej sprawie prowadzone jest dochodzenie, ale niewiele wiem.

- Kto nim kieruje?

- Ojciec wynajął kogoś z Francji. O ile pamiętam, nazywa się Albert Dessage. Zajmuje się też tym królewska policja z Altarii i Specjalne Biuro Śledcze Policji w Chicago. Tą drogą poznali się Brett i Elena, która przesłuchiwała świadków. W czerwcu musiała zrezygnować, bo spodziewa się dziecka. Ojciec zdecydował, że dodatkowo zaangażuje prywatną agencję detektywistyczną Rey-Star Investigations. Jej założyciele, Tom Reynolds i Lucas Starwind, cieszą się świetną opinią, więc mamy nadzieję, że niedługo będzie wiadomo coś więcej.

Michael słuchał jej ze skupionym wyrazem twarzy, a gdy skończyła, rzekł:

- No dobrze, uporządkujmy fakty. Po pierwsze, skoro wypadki miały miejsce w Altarii, dlaczego interesuje się tym policja w Chicago? Po drugie, o ile dobrze pamiętam, twój dziadek zginął w grudniu. Dziewięć miesięcy temu. Dlaczego do tej pory nic o tym bliżej nie wiadomo? To dość zastanawiające, nie uważasz? I po trzecie, jeśli wykluczymy próbę politycznego przewrotu, to może wskazywać na jakieś działania wymierzone w rodzinę Connellych. A jeśli tak, to wszystkim wam grozi

niebezpieczeństwo. Tobie i Brandonowi też — zakończył z marsową miną.

Scandalous

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tara pokręciła głową, próbując go uspokoić.

- Początkowo ojciec miał podobne obawy. Wzmocnił ochronę w firmie i wokół posiadłości Lake Shore Manor. Ale od tamtej pory nic niepokojącego się nie wydarzyło.

- Chociaż... - Michael chciał dowiedzieć się czegoś więcej, słysząc wahanie w jej głosie.

- Stało się jasne, że cała ta sytuacja dotyczy nie tylko Altarii. - Zaczepnęła spory łyk powietrza i powoli je wypuściła. - Ostatnie dowody wskazują na powiązania ze zorganizowaną przestępczością w Chicago. Dlatego zajmuje się tym chicagowska policja.

- Przestępczość zorganizowana? Taro, na litość boską! - Na twarzy Michaela malowało się przerażenie.

- Wiem, jak to brzmi. Nikt z nas nie daje temu wiary, ale są przesłanki, żeby sądzić, że wujek Mark miał z tym coś wspólnego.

- A co takiego?

Tara zawahała się, czy może rozmawiać z nimo takich szczegółach, ale w końcu zdecydowała się podzielić wszystkim, co wie.

- Wujek, o czym nikt nie wiedział, był nałogowym hazardzistą. Kiedy umarł, okazało się, że był po uszy w długach. Wkrótce po jego śmierci Catherine trafiła na e-mail od niejakiego „Księcia”. Zapewniał wujka, że jego kłopoty finansowe się skończą pod warunkiem, że dopilnuje, aby nikt się nie wtrącał. Ale do czego, nie wiemy.

Michael przez cały czas przytakiwał, rozważając możliwe wytłumaczenie.

- Zatem przestępcom może chodzić o wprowadzenie swojego człowieka, chociażby takiego „Księcia”, aby dzięki niemu mieć wpływ na sfery rządowe. Wystarczy znaleźć haka na jakiegoś arystokratę z pro-

blemami i obiecać mu pomoc w ich rozwiązaniu.

- Na to wygląda - potwierdziła Tara. - Jakby tego było mało, parę miesięcy temu wróciła Angie Donahue, matka Setha. To go wykańcza. Zrobił się taki cichy, zamknięty w sobie. Z nikim nie chce rozmawiać, a już na pewno nie o niej. Miał dwanaście lat, kiedy zostawiła go na progu naszego domu dwadzieścia lat temu, nie dając potem żadnego znaku życia. A teraz zjawiała się ni stąd, ni zowąd, komplikując i tak niełatwą sytuację. W firmie też zaczęło się dziać coś niedobrego. Parę miesięcy temu, bez żadnego widocznego powodu, wysiadł cały system komputerowy w Connelly Corporation. Na szczęście udało się opanować sytuację, ale od tego czasu ojciec żyje w ciągłym napięciu. Nawet Charlotte Masters, sekretarka ojca, zawsze taka opanowana i odpowiedzialna, od paru miesięcy zachowuje się co najmniej dziwnie.

- Musi mieć jakiś powód. Podobnie jak wszyscy pozostali - zauważył Michael, patrząc jej poważnie w oczy. - Dlatego muszę być zawsze blisko ciebie i Brandona.

Tara nie odpowiedziała. Jedyne cię przemknął po jej twarzy, a jej postawa wskazywała na wzmożoną czujność. Niewątpliwie zaniepokoiła ją jego deklaracja. Ale i Michael, wysłuchawszy jej relacji, miał prawo do niepokoju.

Postanowił wypytać Granta o szczegóły. On na pewno wie coś więcej. Żeby móc przyjść Tarze z pomocą, musi wiedzieć, co jej grozi.

Tymczasem skierował rozmowę na bezpieczniejsze tory, co zresztą Tarze bardzo odpowiadało. Ona też instynktownie unikała kłopotliwych pytań. Już wkrótce całą uwagę skupili na Brandonie, obmyślając sposoby, żeby najpierw zjadł kurczaka, a dopiero potem ciasteczko. Dopiero kiedy znużony posiłkiem chłopczyk zasnął z głową na kolanach Tary, Michael postanowił zaryzykować.

- Jak się czujesz z tym wszystkim? Ze mną? - zapytał, pakując resztki jedzenia do koszyka.

Tara zmarszczyła brwi, nie do końca rozumiejąc pytanie.

- Nie minęły jeszcze dwadzieścia cztery godziny, odkąd dowiedziałas się, że żyję. Na pewno masz pytania. I prawo do odpowiedzi. Nie o wszystkim mogłem powiedzieć ubiegłego wieczora.

OK, Taro, twój ruch, pomyślał, kiedy zapadła krępująca cisza. Czekał,

a czekając, mógł mieć tylko nadzieję, że wcześniej czy później nastąpi taka chwila, kiedy znowu będą sobie bliscy duszą i ciałem. To, że znalazł w sobie siłę, żeby nie pochwycić jej w ramiona, nie zmusić do natychmiastowego poddania się miłości, zawdzięczał Brandonowi. Jego syn spał jak aniołek. Nie przypuszczał nawet, że przyszłość ich rodziny zależała od tego, czy tata będzie wystarczająco cierpliwy i opanowany, że nie wystraszy kobiety, którą obaj kochali i której potrzebowali.

- Czy kiedy już fizycznie stanąłeś na nogi, nie próbowałeś dowiedzieć się, kim jesteś? Dlaczego? Przecież ci ludzie... Nazywali się Santiago? - upewniła się, a Michael potwierdził skinieniem głowy. - Przecież na pewno by ci pomogli.

Nie spodziewał się, że od tego zacznie. Z wielu powodów na to pytanie było mu najtrudniej odpowiedzieć. Postanowił, że będzie zupełnie szczery.

- Prawdę mówiąc, nie jestem pewien - przyznał. - Można by pomyśleć, że to sprawa pierwszej wagi. Ktoś ni stąd, ni zowąd znajduje się w obcym kraju, pośród zupełnie obcych ludzi, i nic nie pamięta. Pewnie przede wszystkim chciałby, dowiedzieć się czegoś o sobie: skąd pochodzi, kim był, kim są jego bliscy.

- Tak myślę - przytaknęła.

Odstawił na bok piknikowy kosz, a sam rozłożył się na podłodze, podpierając łokciem i zakładając nogę na nogę.

- Cóż, pewnie ci się nie spodoba to, co ci powiem. Tara popatrzyła na niego smutno.

- Czy mi się spodoba, czy nie, to bez znaczenia. Siedziała nieruchomo. Jedyne jej oczy, fiołkowe, rozbiegane, śledziły z uwagą każdy jego ruch. Chciały wiedzieć o nim wszystko.

- Myślę, że jakimś szóstym zmysłem przeczuwałem, że to, czego się dowiem, może mi się nie spodobać. Bardzo dziwnie się czułem, kiedy w końcu wróciła mi pamięć. Wspomnienia wracały chronologicznie. Nasze pierwsze spotkanie, pierwsze chwile intymności...

Zerknął na nią przez ramię. Przełknęła ślinę, unikając jego wzroku. Znowu zapatrzył się na jezioro. Podciągnął nogi i podparł kolanami wyciągnięte do przodu ramiona.

- Po dobrych wspomnieniach przyszły te złe, na przykład nasze

pożegnanie na O'Hare, kiedy poprosiłaś mnie o rozwód. - Bawił się palcami. - Chyba właśnie tego się bałem. Nie chciałem wiedzieć, kim jestem, bo nie chciałem przeżywać tego na nowo.

Kiedy odzyskał przytomność po upadku w super-markecie, wraz z bombardującymi jego umysł wspomnieniami, zaczęły go nękać straszliwe bóle głowy. Zaniepokojeni Vincente i Maria zaprowadzili go do doktora Diamanto. Ten uspokoił ich, zapewniając, że bóle z czasem ustąpią.

- Przez jakiś czas - mówił doktor - nie podejmuj żadnych życiowych decyzji. Nie próbuj wyciągać żadnych wniosków ani dokonywać wyborów. Po takim urazie logika twojego umysłu będzie zakłócona, a rozumowanie zbyt emocjonalne. Chociaż - dodał - w sprawach sercowych logiczne myślenie niekoniecznie musi być na pierwszym miejscu.

Michael dostrzegł tu analogię i trafność jego porady również w stosunku do Tary. Ona też doznała szoku. Przecież od dwóch lat uważała go za zmarłego. Potrzebowała więcej czasu, żeby przekonać się, że warto ratować ich małżeństwo, albo przekonać jego, że nie ma już nic do uratowania.

- Myślę, że Vincente i Maria Santiago spodobałoby ci się - rzekł Michael, zmieniając temat. - Ekwador na pewno też. Jest tam przepięknie, zwłaszcza o tej porze roku.

Oparłszy się znowu na łokciu, zaczął swoją niezwykłą opowieść. O zboczach tonących w soczystej zieleni, dzikich plażach, egzotycznych roślinach w tropikalnych lasach, tętniących życiem miastach i starych, malowniczych wioskach. Ale najwięcej miejsca w swym opowiadaniu poświęcił swoim opie-kunom. Vincente dostał ziemię w spadku po ojcu, a ten dostał ją od swojego ojca.

- Dziwnym zbiegiem okoliczności rosną na niej lasy obfitujące w ten sam typ drewna, jakie miałem znaleźć dla Essential Designs.

Michael wyjechał do Ekwadoru jako wicedyrektor do spraw rynku w Essential Designs. A zaczynał pracę w tej firmie zaraz po szkole, jako goniec, w wieku piętnastu lat.

- Vincente miał świetne wyczucie w handlu drewnem i interesy z miejscowymi odbiorcami układały się bardzo dobrze. Od dawna jednak

marzył o nawiązaniu szerszych kontaktów, tylko nie wiedział, jak się do tego zabrać. I wtedy ja się pojawiłem. Dziwne - nie pamiętałem, jak się nazywam, ale za to pamiętałem wszystko, czego kiedykolwiek nauczyłem się o drewnie: jego strukturze, barwie, trwałości, a co najważniejsze: o europejskich rynkach zbytu. Pomogłem mu założyć profesjonalną stronę internetową i tylko w ciągu pierwszych dwóch miesięcy zgłosiło się ponad dwa tysiące potencjalnych nabywców. Potem już było z górki i w krótkim czasie staliśmy się jednym z ważniejszych dostawców egzotycznych gatunków drewna.

Tara, która pochylona nad śpiącym Brandonem delikatnie odgarnęła mu włosy z czoła, podniosła nagle głowę.

- My? Michael odpowiedział uśmiechem.

- Obecnie jestem pełnoprawnym partnerem w tym biznesie. To był ich pomysł. Na początku protestowałem. Nie chciałem wykorzystywać faktu, że traktowali mnie jak syna. Vincente i Maria nie mają własnych dzieci. Z czasem oni również stali się mi bliscy - jak rodzina, której nigdy nie miałem. Nalegali, żebym został ich współnikiem, twierdząc, że gdyby nie ja, interes nigdy nie rozwinąłby się tak szybko.

- To znaczy... - Tara była wyraźnie zaskoczona własnymi wnioskami. - To znaczy, że jesteś bogatym człowiekiem.

- No, powiedzmy, że pieniądze przestały być dla mnie problemem.

- I zostawiłeś wszystko: pracę, Santiagów, kraj, w którym było ci tak dobrze, po to, żeby wrócić do Chicago.

Michael spojrzał za siebie i sięgnął po butelkę z winem.

- Zostawiłem, żeby wrócić do swojego życia. Przerwanego, w pewnym sensie.

Kątem oka widział, że Tara zbiera się, by odpowiedzieć, i że nie jest jej łatwo. Pewnie zechce mu przypomnieć, że ich wspólne życie właściwie już się zakończyło. Cóż, z jego punktu widzenia było zupełnie inaczej i nie zamierzał poddać się bez walki. Spokojnie nalał wina do kieliszków, a następnie, podkulając pod siebie nogi, podał jej jeden z nich.

- Taro, biznes to biznes. Zamierzam często jeździć do Ekwadoru, nie tylko, żeby odwiedzać bliskich mi ludzi, Vincente'a i Marię, ale także żeby załatwiać niektóre sprawy firmy. Te, których nie da się załatwić na

odległość. Nie zmienia to jednak faktu, że to, co najważniejsze dla mnie, jest właśnie tutaj w Chicago. To ty i Brandon. Posłuchaj mnie - powiedział z łagodną perswazją, widząc grymas protestu na jej twarzy. - Nie proszę cię o to, żebyśmy byli razem. Proszę cię jedynie o rozważenie takiej możliwości. I to nie przez wzgląd na mnie czy nawet Brandona. Przede wszystkim daj taką szansę sobie.

Scandalous

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Tego samego wieczoru Tara siedziała naprzeciw Johna w eleganckiej, zacisznej francuskiej restauracji. Pomimo wysiłków jej myśli nieprzerwanie krążyły wokół popołudnia, które ona i Brandon spędzili z Michaeliem. Wciąż wspominała jego współczujące spojrzenie, kiedy opowiadała o kłopotach w rodzinie i firmie ojca. Widziała jego determinację, słyszała stanowczość w głosie.

- Muszę być zawsze blisko ciebie i Brandona - mówił.

Nie porozmawiali o tym. Zresztą i tak nie doszliby do porozumienia. Trzeba było nakarmić Brandona, więc zajęli się jedzeniem. To był prawdziwy piknik. Siedzieli na kocu, a przed nimi, jak okiem sięgnąć, rozciągało się jezioro Michigan. Michael miał świetny kontakt z synem. Przyjemnie było ich obserwować. Bez większego trudu namówił kapryśnego zazwyczaj Brandona do wypicia mleka i zjedzenia porcji kurczaka i to przed jego ulubionym ciasteczkiem. Potem Brandon szybko zasnął w jej objęciach, a oni długo rozmawiali o różnych sprawach. Było jej tak dobrze i bezpiecznie do momentu, kiedy się na tym przyłapała. Będąc pod jego urokiem, czuła się zupełnie bezbronna. Michael za to był opanowany. Wydorósł, sprawiał wrażenie kogoś, na kim można polegać. Może dlatego, że zmienił fryzurę. Jego czarne, błyszczące włosy - te, w których jedwabistą miękkość lubiła zanurzać kiedyś palce, przyciągając jego głowę do pocałunku - były teraz modnie przystrzyżone.

Przywołała się do porządku. Z uprzejmym uśmiechem skinęła głową, kiedy John składał zamówienie u kelnera. Nie miała pojęcia, co zamówiła. Czuła się kompletnie zagubiona, a przecież jeszcze wczoraj wszystko w jej życiu było przewidywalne. Ona miała być żoną dla Johna Parkera, a on ojcem dla Brandona. Ale przecież Brandon miał już ojca, a

ona nadal była żoną Michaela. Sączyła wino w milczeniu.

- Jesteś dzisiaj niezwykle milcząca - zauważył John.

- Przepraszam. - Uśmiechnęła się i odstawiła kieliszek. - Obawiam się, że faktycznie nie jestem zbyt towarzyska.

- To powrót Paige'a tak cię rozstroił - rzekł bez ogródek.

- Cóż za spostrzegawczość! - zaśmiała się nerwowo Tara.

- Jeśli nie chcesz, nie musisz się z nim widywać. Twój ojciec z radością tego dopilnuje, a i ja się dołączę.

- John - powiedziała spokojnie - w świetle prawa Michael nadal jest moim mężem. Zawsze będzie ojcem Brandona. Do tego ma za sobą przykre doświadczenia.

- Wciąż do niego coś czujesz - stwierdził John po chwili wahania.

- Nie będę udawać, że tak nie jest. - Popatrzyła mu prosto w twarz, a potem na swoje dłonie. - To nie byłoby w porządku ani wobec ciebie, ani wobec niego.

Kiedy przez dłuższą chwilę nie odpowiadał, spojrzała mu w oczy. To, co w nich zobaczyła, zaskoczyło ją. Nigdy nie myślała, że John jest zdolny do okazywania uczuć.

- Michael i ja mamy wspólną przeszłość. Mamy syna. Trudno mi określić, co do niego czuję.

Teraz zaskoczyły ją własne słowa. To nie tak! Potrafiła nazwać swoje uczucia: tęsknota, poczucie winy, żal za tym, co nie może się już stać.

John uważnie przyglądał się jej twarzy. Na tyle, na ile pozwalało mu dyskretne, migotliwe światło świec.

- Co to oznacza dla nas?

Tara wyciągnęła ku niemu rękę i przykryła jego dłoń swoją.

- Zamierzasz do niego wrócić - odpowiedział na swoje pytanie.-

Nie - odparła. - Nie mam zamiaru do niego wracać. Rozwiódę się z nim.

- W takim razie skąd twój brak zdecydowania w naszej sprawie?

To będzie trudne. Bardzo trudne. Sama nie do końca rozumiała swoje pobudki. Jednego była pewna - nie mogła się dłużej widywać z Johnem. To nie byłoby w porządku względem niego. A może bardziej chodziło tu o Michaela?

- John - powiedziała w końcu. - To prawda, że pojawienie się Michaela spowodowało nieco komplikacji. Z drugiej jednak strony

uprościło moje widzenie niektórych spraw. Na przykład, naszego związku.

- Z trudem dobierała słowa. - To, co jest między nami, ma wyjątkowe znaczenie. Naprawdę wyjątkowe. To przyjaźń, czułość i... tak, miłość. Kocham cię, John.

- Ale nie aż tak bardzo jak kochasz Paige'a, prawda? - powiedział z przekąsem.

Tara uśmiechnęła się ze smutkiem.

- A czy ty mnie kochasz? Tak szczerze?

- Miłość to pojęcie względne, Taro. Ale żebyśmy mieli pełną jasność sytuacji: tak, kocham cię.

Jego pełne bólu spojrzenie potwierdzało prawdę wypowiedzianych słów.

- John, zasługujesz na to, żeby ktoś tę miłość odwzajemnił - powiedziała, zsuwając z palca zaręczynowy pierścienek z brylantem i zamykając go w jegodłoni. - Przykro mi. Bardzo mi przykro, ale ja nie mogę tego zrobić.

John z kamienną twarzą wrzucił pierścienek do kieszeni marynarki.

- Smakuje ci wino? - zapytał po chwili, podnosząc kieliszek do ust.

Cały John Parker! Wielkoduszny, beznamienny. Wydawać by się mogło, że to, co się właśnie stało, wcale go nie dotknęło. Po prostu pasował i pozwalał jej odejść.

Michael był zupełnie inny. Ale tych dwóch mężczyzn w ogóle nie można było porównywać. To jakby zestawiać szlachetny jedwab i szorstki dżins, srebro i stal, wodę i ogień. Jednego z nich kochała, pomimo że całą sobą buntowała się przeciw tej miłości. Drugiego tak nie kochała, pomimo że tego pragnęła.

- Wino jest wspaniałe. Podobnie jak ty, John. Zostaniemy przyjaciółmi? - zapytała z nadzieją w głosie.

- Na zawsze. - Przez moment jego oczy stały się cieplejsze. - I jako twój przyjaciel, podzielę się pewną informacją. Zanim tu przyszedłem, dzwonił do mnie Randolph Bains.

Na dźwięk tego nazwiska Tara ścisnęło w żołądku. Bains był bogatym i wpływowym przyjacielem Johna i jej ojca, a jednocześnie wydawcą „Chicago Tribune”.

- Obawiam się, że jutro rano znajdziesz swoje zdjęcie na pierwszej stronie dodatku. Jeden z jego reporterów zrobił zdjęcie w chwili, kiedy wychodziłaś z redakcji z Paige'em i Brandonem.

Tara przymknęła oczy. Wiedziała, jakie to musi być przykre dla Johna. Wściekało ją też naruszenie jej prywatności. W „Chicago Tribune” ukaże się krótka wzmianka, ale nazajutrz kolorowe pisemka rozdmuchają całą historię.

- John, tak mi przykro. Wzruszył ramionami.

- Cóż, tak bywa. Widziałem tu gdzieś Sama Brax-tona. Przepraszam cię na chwilę. Pójdę się przywitać.

- Ależ oczywiście.

Tara patrzyła, jak Parker wstaje od stołu i odchodzi - dumny i szlachetny. Sprawiała mu ból. Nigdy sobie tego nie wybaczy.

Zamknęła też pewien rozdział w swoim życiu. Nie przypuszczała, że to okaże się takie proste.

Michael nie był zadowolony, widząc swoje zdjęcie w gazecie. Tym bardziej, kiedy pomyślał, co przeżywa jego żona. Tara była potencjalną ofiarą dla każdego sprytnego łowcy sensacji. Jak złota rybka w akwarium. Żadnej prywatności. To była cena, jaką płacili wszyscy członkowie słynnego klanu Connellych.

Upewnił się, że naładował swoją komórkę, i wsunął ją do wewnętrznej kieszeni kurtki. Chwycił kluczyki od wynajmowanego samochodu i zamknął za sobą drzwi hotelowego pokoju. Przede wszystkim chciał porozmawiać z Grantem Connellym, żeby dowiedzieć się czegoś więcej na temat prowadzonego dochodzenia. Musiał mieć pewność, że jego żona i syn są bezpieczni.

Nie zdążył jeszcze dojść do samochodu, kiedy zadzwonił telefon. To Vincente. Po paru minutach rozmowy Michael zrozumiał, że musi zmienić plany. Pozostało mu mieć nadzieję, że nie skomplikuje to i tak niełatwej relacji z Tarą.

Rozmowa z Grantem była krótka i rzeczowa. Wynikało z niej, że Tara i Brandon są dostatecznie chronieni i że nic im nie zagraża. Stosunki z Grantem nadal pozostawały chłodne, ale nie dbał o to. Zależało mu przede wszystkim na Tarze. Znalazł ją w pokoju zabaw Brandona.

Siedziała na podłodze z nogami założonymi jedna na drugą. Brandon

klęczał obok niej. Budowali razem wieże z klocków, a następnie ze śmiechem je burzyli.

Patrzył na tych dwoje z ogromną tkliwością w sercu. Jakże nienawistna była mu myśl o tym, że znowu musi ich opuścić.

- Dzień dobry - rzekł, stając w drzwiach. Na jego widok Brandon wydał pisk radości i od razu podreptał w jego kierunku. Michael wyszedł mu naprzeciw. Chwycił go wpół, podniósł wysoko w powietrze, a następnie gwałtownie przytulił do piersi.

- Witaj, smyku!

- Da-da-da-da! - powtarzał Brandon, klepiąc Michaela po policzku.

- Tak jest, mały. To twój tata - wesoły początkowo okrzyk przeszedł w zduszony szept. - I niech nikt ci nie mówi, że tak nie jest - dodał, przywierając ustami do jedwabistej czupryni.

Tara wstała i otrzepała kremowe wełniane spodnie. Wsunęła do nich jasnoniebieska jedwabna bluzka dodawała jej elegancji. Czarny pasek podkreślał smukłą talię.

Michael od razu zauważył, że brylantowy pierścionek zniknął z jej palca, co wprawiło go w doskonały nastrój.

- Cześć! - Postawił Brandona na podłodze. - Ładnie wyglądasz.

Zarumieniła się.

- Ty też nieźle.

Michael posłał jej wdzięczny uśmiech, przyglądając krawat. Po czym przykucnął przy Brandonie, który znowu pieczołowicie układał klocki jeden na drugim. Podał jeden z nich tacie, a on postawił go na samym wierzchołku ryzykownie przechylonej wieży.

- Kogo my tu mamy? Pewnie rośnie przyszły architekt.

Brandon, zanosząc się śmiechem, zamachnął się rączką i rozsypał klocki po całym pokoju.

- Chyba raczej ekspert od rozbiórek - zażartowała Tara, z powątpiewaniem kręcąc głową. Michael powoli podniósł się z podłogi. Dla dodania sobie pewności wsunął ręce do kieszeni.

- Nie jest mi łatwo o tym mówić - wyrzucił z siebie. - Muszę wyjechać.

Obserwował jej twarz. Co zobaczy, rozczarowanie czy zwątpienie? Dojrzał i jedno, i drugie. Dobrze, że nie wygarnęła mu od razu, co o tym

myśli. Miałaby prawo.

- Nie chcę wyjeżdżać. Nie chcę was opuszczać, ale nie mam wyboru.

Rozdzierający ból przeszył mu skroń. Od dwóch tygodni miał z nim spokój, a jednak znowu go dopadł. Wraz z nim pamięć o podobnych scenach w przeszłości. Muszę wyjechać. Ileż razy mówił jej te słowa? Z wyrazu jej oczu wyczytał, że myślała o tym samym.

Zaklął pod nosem, rozcierając skroń. Pod dotykiem palców ból powoli ustępował.

- Uwierz mi, nie chcę tego. Wyjechałem stamtąd, zostawiając Vincente'a samego z tym wszystkim. Czasami zdarzają się sytuacje, których nie sposób przewidzieć.

Oczy Tary patrzyły na niego ze zrozumieniem, ale ona sama zachowywała chłodny dystans. Trochę zdenerwowana, przeszła na drugą stronę pokoju, podniosła z podłogi niebieskiego pluszowego słonia i przytuliła do siebie.

- Jedźcie ze mną - powiedział, zaskakując tą niespodziewaną propozycją nawet samego siebie. - Poznasz Santiagów. Przekonasz się, jacy to mili ludzie. Będą szczęśliwi, mogąc was ugościć.

- Michael, nie mogę tak po prostu wyjechać. Z dzieckiem to nie takie proste. Nawet nie wiem, czy mam jeszcze ważny paszport.

- No tak - odpowiedział, posyłając jej namiastkę uśmiechu i przeczesując palcami włosy. Nie uszło jednak jego uwagi, że zanim odrzuciła jego propozycję, najpierw ją rozważyła. - Powinienem być z powrotem najdalej za trzy dni. Wiem, o co chodzi, i szybko to załatwię. Nie mogę ich zostawić bez pomocy.

- Nie musisz niczego tłumaczyć, Michael.

- Ależ tak, muszę. Chcę, żebyś zrozumiała, że dla mnie to Santiagowie są ważni, nie biznes. Gdyby chodziło tylko o interesy, machnąłbym ręką. Ale to jest ich firma, a oni są dla mnie jak rodzina. Potrzebują mojej pomocy.

- Jedź - rzekła Tara, patrząc mu w oczy.

W jednej chwili był przy niej i trzymał ją w objęciach.

- Poczekasz tu na mnie, prawda? - prosił gorącym szeptem. - Ale dopóki nie wrócę, zostawię ci to.

Przyciągnął jej twarz ku sobie i pochylając się nad nią, złożył na jej

ustach pocałunek, którym pragnął wyrazić całą swoją miłość, tęsknotę, niezaspokojony głód jej ciała. Tarze zakręciło się w głowie. Zawsze doznawała lekkiego zawrotu głowy, kiedy podchodził zbyt blisko. Nie znajdowała wtedy dość siły, żeby go od siebie oddalić. Za bardzo lubiła dotyk jego zniewalających dłoni, smak jego ust, ciepło ciała.

- Czas minął - zażartował, ciężko wzdychając. Wciąż ciasno ją przytulając, oparł brodę na jej głowie. - Wielki Boże, niczego tak nie pragnę, jak wrócić tu jak najprędzej i zacząć wszystko od nowa.

Zerknął na zegarek i zaklął pod nosem.

- Muszę już iść, kochanie. Inaczej spóźnię się na samolot.

Z ogromnym żalem opuścił ramiona i zrobił krok do tyłu. Tara, zawstydzona i drżąca, została nagle sama w rozkołysanym wokół niej świetle.

- Pomyśl o mnie, kiedy wyjadę, dobrze? Pomyśl o tym, co straciliśmy, i o tym, ile jeszcze mamy do zyskania.

Mówił o ich małżeństwie. W jednej chwili wróciła do rzeczywistości. Chciałaby mu wierzyć. W to, że się zmienił, że co innego ma teraz dla niego znaczenie. Ale niezaprzeczalnym faktem było to, że właśnie ją opuszczał. Zawsze tak było.

- Proszę. - Wcisnął jej do ręki klucz. - Do mojego mieszkania. Zajmiesz się nim podczas mojej nieobecności?

- Ależ, Michael... Ja nie mam pojęcia, jak ty byś chciał je. urządzić. - Zrób to po swojemu. Na pewno mi się spodoba. Tara milczała, wpatrując się w klucz.

- No, dobrze - rzekł, biorąc jej milczenie za zgodę. - Naprawdę muszę już lecieć. - Dał jej całusa w policzek i schylił się, żeby wziąć na rękę Brandona.

- Opiekuj się mamą, miody człowieku. I nie zapominaj o mnie, zgoda?

- Da!

- No jasne, że tak - powiedział ze śmiechem Michael, podając go Tarze. - Wrócę najszybciej, jak będę mógł.

Przez chwilę zatrzymał na niej spojrzenie i odwrócił się do wyjścia.

- Michael.

Staął w miejscu. Przez moment stał w bezruchu, bojąc się tego, co

usłyszy. Odwrócił się z uśmiechem przyklejonym do twarzy. Jego oczy jednakże wyrażały co innego. Był w nich smutek, niepokój, nieznana jej wcześniej wrażliwość. Zaskoczyło ją to. Nie przypuszczała, że tak łatwo można go zranić. Mężczyzna, z którym dzieliła życie, nie miał słabych punktów. Był ambitny i niepokonany, ale nigdy słaby.

Ta nowa wartość, którą w nim odkryła, sprawiła, że przemilczała wszystkie gorzkie słowa, jakie chciała powiedzieć.

- Co do Johna... to już nieaktualne - powiedziała przez moment zapanowała cisza. - To nie zmienia faktu, że...

- Ciii... - Nie przestając się uśmiechać, przyłożył jej palec do ust. - Nie myśl o tym, co nie może się zdarzyć. Nie myśl o swoich obawach. Myśl tylko o tym, że cię kocham.

Scandalous

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Skoro tak koniecznie chcesz się rozwieść z Michaeliem, to dlaczego przez te dwa lata byłaś jak nieżywa?

Tara podniosła głowę znad biurka w „City Beat”. Seth, ubrany w trzyczęściowy garnitur, niespokojnie przemierzał pokój w tę i z powrotem. Ręce wcisnął głęboko w kieszenie spodni i, jak przypuszczała, na niej chciał odreagować swój kiepski nastrój.

Westchnęła z siostrzaną wyrozumiałością, składając to na karb zamieszania, jakie wywołało pojawienie się Angie Donahue. W jakiś sposób ciążyła ona wszystkim z klanu Connellych.

- Myślałam, że chcesz mnie zaprosić na lunch, a nie wszczynać kłótnie - powiedziała z kapryśną miną.

Ku jej zadowoleniu Seth lekko się uśmiechnął. Bardzo chciała poprawić mu nastrój, ale nie swoim kosztem. O Michaelu nie będzie z nim rozmawiać.

Minęło już osiem dni, odkąd wyjechał, a miał przecież wrócić za trzy. Tyle warte są jego obietnice. W tejmierze nic się nie zmieniło. Rozczarowana i rozgoryczona, bardziej niż kiedykolwiek trwała w przekonaniu, że rozwód będzie najlepszym rozwiązaniem.

- Rozmawiałem z nim tuż po jego powrocie - rzekł Seth, zatrzymując się i patrząc jej prosto w oczy. - Ten facet cię kocha, Taro. On tego rozwodu nie chce.

Przymknęła oczy. Znowu to samo!

- Jeśli nie chcesz reprezentować mnie w sądzie, to nie ma sprawy - odparła kategorycznym tonem.

- Ojciec z pewnością znajdzie mi kogoś na twoje miejsce.

Seth skrzyżował ramiona, oparł się plecami o ścianę i wlepił w nią uważne spojrzenie.

- Nadal nie odpowiedziałaś na moje pytanie.
- Jakie znowu pytanie? - zapytała tonem osoby na skraju cierpliwości.
- Skoro upierasz się przy tym rozwodzie, czemu tak dziwnie się zachowywałaś? Myślę, że przez cały ten czas czekałaś na niego. Nigdy nie pogodziłaś się z tym, że on zginął. Kochasz go - dodał z naciskiem.
- Teraz już nic nie stoi na przeszkodzie, żebyście wreszcie byli razem.

Nic z wyjątkiem serii nieporozumień, wybuchów gniewu i żalu. Nie miała zamiaru o tym mówić. I nie pozwoli się wyprowadzić z równowagi. Seth był jej najukochańszym bratem. Rozumiała jego dobre intencje. Podobnie jak i to, że tak naprawdę nigdy nieczuł się pełnoprawnym członkiem jej rodziny. Zupełnie jak Michael. To dlatego trzymał teraz jego stronę. Wstała i wyszła z za biurka, aby go przytulić.

- Kocham cię, braciszku - wyszeptala mu do ucha. - Proszę, daj spokój. Chyba nie chcesz mnie zdenerwować - dodała ostrzegawczym tonem.

Kiedyś nie pozwoliłby nikomu na takie czułości, ale Tara miała na niego swoje sposoby.

- Zabierz mnie na lunch - rozkazała, przyjmując rolę apodyktycznej i kapryśnej siostry. - Pogadamy sobie o tym i owym, ale na pewno nie o kłopotach w naszej rodzinie. Moich też nie.

Zrobiła minę, jakby niespodzianie wpadł jej do głowy rewelacyjny pomysł.

- Hej, a co byś powiedział na mecz? Dawno nie oglądaliśmy naszych Lwiątek w grze. - Musnęła czule palcami jego krótkie, brązowe włosy, a w jego oczach pojawiły się ciepłe błyski. - Co ty na to? Powydzieramy się na sędziego, upačkamy się keczupem.

- Zawsze musisz postawić na swoim, prawda, siostrze? - utyskiwał udobruchany; podczas gdy Tara zdejmowała już okrycie z wieszaka.

- Ojej, złościsz się, bo ci się postawiłam. Choć raz przyjmij przegraną jak mężczyzna.

Wzięła go pod ramię i nieomal siłą wyprowadziła z pokoju. Tara zamknęła książkę z trzaskiem. Trzy razy czytała tę samą stronę, na próżno próbując coś zrozumieć. Zbyt wiele myśli kłębiło się w jej

głowie.

Był późny wieczór i jedynie ona została jeszcze w salonie. Wszyscy inni dawno położyli się spać. Pomyślała o Brandonie. Na pewno smacznie spał w swoim łóżeczku na górze. Tak szybko rósł. Czasami chciałaby zatrzymać czas, żeby pozostał niewinny i radosny, wolny od rozczarowań, jakie niewątpliwie spotkają go w życiu.

- Ale czy to byłoby w porządku? - zapytała siebie głośno.

To tak, jakby nie pozwolić mu żyć naprawdę. Doświadczać chwil radości i triumfu, ale też lęków i porażek. Niepotrzebnie się martwi. Jej syn będzie silny. Weźmie się z życiem za bary i zwycięży. Ona jednakże i tak zawsze będzie chciała go chronić i wspierać. Jest przecież jego matką.

Brandon wypytywał ją o Michaela codziennie. I to wiele razy. Brakowało mu go. Jej niestety też. Tego najbardziej się obawiała. Że nie przestanie za nim tęsknić.

Przeczesała palcami włosy i podkuliła nogi. Opierając brodę na kolanach, zapatrzyła się w ogień na kominku. Myślała o tęsknym spojrzeniu jego szarych oczu, o błękitnawych błyskach na jego czarnych jak smoła włosach, o niepowtarzalnych kształtach jego muskularnego, szczupłego ciała. Nagle jakiś hałas przykuł jej uwagę. Siedziała nieruchomo, nasłuchując. To było jak daleki odgłos nadciągającej burzy. Spojrzała za okno od strony jeziora, ale niebo było czyste, usiane gwiazdami.

Dźwięk narastał, był coraz bliżej - przypominał warkot motocykla. Zerwała się na równe nogi, obciągając czerwony sweter. W korytarzu przy drzwiach wejściowych spotkała Ruby w szlafroku i w kapciach.

- Co to tak warczy i nie daje ludziom spać po nocach? - zapytała gderliwie, ziewając.

Poprawiła szlafrok i otworzyła drzwi.

- A niech mnie! - Potrząsnęła z niedowierzaniem głową i uśmiechnęła się od ucha do ucha, zerkając z ukosa na Tarę. - To nikt do mnie. Cóż, bawcie się dobrze, a nie wracajcie zbyt późno do domu.

Po czym zostawiła ją samą z niezwykłym widokiem. Na szczycie schodów, na wprost głównego wejścia, ujrzała odzianego w skórę zawadiakę na największym, najbardziej odlotowym motocyklu, jaki kie-

dykolwiek widziała. Rękoma w czarnych rękawicach ściągnął z głowy kosmiczny, połyskujący lakierem, czarny kask, co uczyniwszy, potrząsnął czarną jak noc czupryną.

- Hej! - przywitał się Michael, nieco zmęczony, ale uśmiechnięty.

Tak po prostu: hej? Po długich ośmiu dniach nieobecności? Jak gdyby szalenciec pokonujący dwadzieścia stopni schodów na motorze i zjawiający się o północy w Lake Shore Manor był zwyczajnym codziennym widokiem. Jak gdyby wciąż mieli po szesnaście lat i czekali chwili, żeby wyrwać się z domu, sprzeciwić rodzicom.

Nie, ten czas już minął. Kiedyś liczyło się tylko to, żeby być razem. Teraz nie wolno jej tego chcieć. Nie powinna.

- Już prawie północ - zauważyła. Jedyne słowa, jakie przychodziły jej do głowy.

Rozsądek podpowiadał jej, żeby wejść do środka i zamknąć za sobą drzwi. Nie powinna tam stać z sercem walącym jak oszalałe, z przemożnym pragnieniem, żeby wskoczyć na motor i mocno przytulić się do jego pleców.

- To wiem - odparł, dodając gazu, na co motor odpowiedział jeszcze głośniejszym warkotem.

Tara zatrzepotała rzęsami.

- Co wiesz? - przekrzykiwała hałas motoru, nachylając się ku niemu i odruchowo zamykając drzwi w nadziei, że nie obudzi całego domu.

- Że już prawie północ. - Odsonił w uśmiechu białe zęby. - Najlepsza pora na dobrą jazdę.

- Jazdę? Michael, przecież... Ja nie...

- No chodź. - Odwrócił się na siedzeniu i pogrzebał w czarnej, obwiedzonej srebrną lamówką torbie na bagażniku. - Będzie jak kiedyś.

Wyciągnął czarną skórzaną kurtkę i zarzucił jej naramiona. Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć włożył jej na głowę swój kask.

- Przecież chcesz się przejechać - powiedział z przekonaniem, nie ukrywając zadowolenia. Podtrzymując motor między nogami, pomógł jej wciągnąć rękawy, a następnie pozapinał guziki. - Proszę, tak ładnie proszę!

Zapiął jej ostatni zatrzask pod brodą i spojrzał głęboko w oczy. Przez chwilę walczyła jeszcze ze sobą, aż w końcu krzyknęła „okej!” i

wskoczyła na tylne siedzenie.

Kiedy zjeżdżali w dół po schodkach, miała duszę na ramieniu. Przywarła mocno do niego, mając nadzieję, że nic złego im się nie przytrafi.

- Udało się nam, co?! - krzyknął przez ramię, gdy znaleźli się na równym gruncie.

Tak, uśmiechnęła się do siebie, było zupełnie nieźle.

Noc była chłodna i rześka. Wydawało się, że im dalej jechali, tym więcej gwiazd pojawiało się na niebie, tym jaśniejsze było światło księżycy. Tara nie miała pojęcia, dokąd jadą, ale nie miało to już dla niej żadnego znaczenia. Cały jej świat skurczył się do motoru, który z potężną mocą unosił ją gdzieś w dal, i do emanującego z ciała Michaela ciepła, które czuła na swoich piersiach przytulonych do jego szerokich pleców. Cała jej uwaga skupiała się na zręcznych niezawodnych manewrach, z jakimi omijał inne pojazdy, pędząc zatłoczonymi ulicami Chicago i dalej poza granice miasta.

Nie odzywali się ani słowem, ale przecież nie o rozmowę tu chodziło. Ważniejsze było odkrywanie na nowo emocji, które zawsze towarzyszyły ich wspólnym eskapadom. Podniecająca gra silnika, pęd powietrza, poczucie wzajemnej bliskości.

Wreszcie zjechali z Sheridan Road, przemknęli przez Evanston, aby zatrzymać się w parku tuż nad brzegiem jeziora Michigan. Michael wyłączył silnik, lekkim kopnięciem opuścił podnózek i, ustawivszy na nim maszynę, zsiadł z motoru.

Pierwsze, czego doświadczyła, stawiając stopy na twardym gruncie, to chłodny podmuch wiatru w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą czuła ciepło jego ciała. Zaraz potem zauważyła utkwione w sobie jego przenikliwe spojrzenie. Przeszedł ją dreszcz.

- Zupełnie jak kiedyś, co? - przemówił cichym głosem. - Pamiętasz?

O, tak. Przejazdki o północy, gorące, łaknące siebie ciała, szalone pocałunki. Uciekła wzrokiem.

- Nie przypominam sobie, żebyś kiedyś jeździł w takim stylu.

Roześmiał się.

- Podoba ci się? - Zrobił gest w stronę motocykla. - Zamówiłem go tuż przez wyjazd do Ekwadoru. Kiedy wróciłem dziś wieczorem,

sprzedawca specjalnie dla mnie otwierał sklep, żebym mógł się przejechać.

- Nie mogłeś poczekać z tym do jutra?

- Nie. Tak samo, jak nie mogłem doczekać się chwili, kiedy cię znowu zobaczę. Tęskniłem za tobą. Przepraszam, że to tak długo trwało - rzekł, robiąc krok w jej stronę. - Wyniknęły pewne komplikacje.

Dzwoniłem, ale nigdy cię nie było w domu albo nie mogłaś odebrać.

To prawda. Nie chciała odbierać jego telefonów.

- Jak tam Brandon? - zapytał, zdejmując powoli rękawice i zatykając je w bocznej kieszeni spodni.

- Brandon? W porządku. Tęskni za tobą. Wypytuje o ciebie codziennie.

- Naprawdę? Tęskni? - w jego głosie słychać było radosne zdziwienie.

- Zrobiłeś na naszym synu dobre wrażenie.

- A na jego mamie?

Stał teraz bardzo blisko. Jego oczy płonęły. Drżącymi palcami musnął kontur jej podbródka, a potem całą dłoń przytrzymał jej twarz i pochylił się ku jej ustom.

Mogła się odwrócić, umknąć jego wargom, tak jak unikała jego telefonów, ale nie zrobiła tego. Nie miała w sobie dość siły. Zamiast tego, kiedy tylko poczuła dotknięcie jego warg, westchnęła i wyszła im naprzeciw. W uścisku jego ramion zapomniała o całym świecie i zarzuciła mu ręce na szyję. Przywarli do siebie jak w gorączce. Oboje spragnieni i nienasyчени.

- Tara, Tara... - powtarzał jej imię zduszonym szeptem. Imię jedynej kobiety, która mogła dać mu to, czego pragnął. Za czym tak długo tęsknił. - Otwórz - szeptał tuż przy jej ustach. - Wpuść mnie, Taro, proszę.

Z głośnym westchnieniem rozchyliła usta i poddała się rozkoszy jego zachłannych pocałunków.

- Tak mi dobrze - mrucał, delikatnie okalając zębami jej podbródek i szyję. W tym czasie jego duże ręce nie ustawały ani na chwilę, wędrując po jej plecach, ramionach, biodrach. Przyciskał ją do siebie tak mocno, że czuła pulsujące pragnienie jego ciała. Podniósł ją i posadził na

siodełka motocykla.

- Chcę cię dotykać, wszędzie - wyszeptał, gdy jego zręczne palce zaczęły rozpinać guziki przy kurtce. Uporawszy się z nimi, zanurkował dłońmi pod sweter, masując jej brzuch, sięgając krągłości piersi pod jedwabnym staniczkiem. Następnie podciągnął sweter do góry i rozpalonymi ustami przywarł do jej ciepłego brzucha.

Tara wydała jęk rozkoszy. Odrzuciła głowę do tyłu, zaplåtując palce w jego włosy. Jego usta - wilgotne, kłuszące - smakowały jej ciało, podczas gdy ręce z łatwością uporały się z zapięciem staniczka. Przez chwilę masował jej nagie piersi, delikatnie je ugniatając, po czym koniuszkiem języka obwodził ich kształt i drażnił napięte sutki. Michael dobrze wiedział, jak dotykać Tary, żeby krew zawrzała jej w żyłach, żeby wzniecić w niej pożądanie, żeby błagała go o jeszcze.

- Michael, przestań - poprosiła niespodziewanie.

- Przecież nie chcesz, żebym przestał - odpowiedział chrapliwym szeptem, obejmując jej pierś ustami. - Wiem, czego chcesz. Pozwól mi to sobie dać.

- Kręci mi się w głowie. Przestań, nie mogę myśleć, kiedy mi to robisz.

Jego usta wolno przemieszczały się w górę łuku szyi, znacząc szlak pocałunkami.

- Nie musisz myśleć. Musisz czuć.

Obiema rękami chwycił ją za pośladki i mocno pociągnął ku sobie.

- Muszę pomyśleć, Michael. Proszę.

Zamarł w bezruchu. Następnie powoli podniósł głowę i dotknął jej czoła swoim.

- Wykończysz mnie.

- Przepraszam.

- Kochanie, nie rób tego. - Delikatnym dotknięciem starł łzę z jej policzka i wziął ją w ramiona. - No, już dobrze. Dałem się ponieść. To przez to, że ty... - zawiesił głos i zaśmiał się nerwowo. - Przy tobie nie panuję nad sobą. Tak zawsze było. I będzie.

Westchnął głęboko.

- Lepiej będzie, jeśli odwiozę cię do domu. Zresztą kto wie, może twój ojciec wysłał już za nami policję?

- To nie byłby pierwszy raz - zażartowała, siląc się na uśmiech.

Uśmiechnął się do niej, patrząc na nią tkliwie.

- Ale najpierw przywrócimy cię do porządku. Odwróć się.

Zadrżała, kiedy znowu poczuła jego dłonie pod swetrem. Szybko odnalazł luźne końce staniczka i zapiął je z powrotem.

- W porządku? - upewnił się.

Kiwnęła głową. Cmoknął ją w czoło i zapalił motor.

W drodze powrotnej Tara toczyła istną batalię pomiędzy jej rozemocjonowanym sercem i zdrowym rozsądkiem.

- Wpadnij do mnie jutro rano - poprosił Michael, kiedy zajechali pod Lake Shore Manor. - I przyprowadź Brandona. Chciałbym się z nim zobaczyć.

Pożegnał ją pocałunkiem tak czułym i pełnym miłości, że omal się nie rozplakała.

- Dobranoc, kochanie - wyszeptał.

Kiedy weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi, oparła się o nie, czując, że po raz pierwszy od dwóch lat ma ochotę żyć. Kochać i być kochaną.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kiedy następnego dnia o dziewiątej rano Tara i Brandon zjawili się w apartamencie Michaela, ten czekał na nich z niecierpliwością.

Nie spał już od szóstej, a właściwie to i w nocy ledwie zmrużył oko. Wciąż rozmyślał o Tarze, przeżywając mieszankę różnych emocji od skrajnej frustracji po nadzieję.

Zabierając ją na przejażdżkę motorem, liczył na to, że stworzy się odpowiedni klimat i nastrój. Nie mylił się. Tara uległa wspomnieniom i całowała go, jakby był jej jedynym mężczyzną, jakby nie było nikogo innego w ciągu tych dwóch lat jego nieobecności. A pocałunki Tary nie kłamią.

Kiedy otworzył drzwi, Brandon przywitał go radosnym piskiem, rzucając mu się w ramiona.

- Da! - wykrzyknął i wczepił się w niego jak małopka.

Ten prosty, spontaniczny wyraz dziecięcej miłości napawał Michaela dumą. Dodawał mu wiary w to, że uda mu się też przekonać do siebie Tarę. Stała w drzwiach z oczyma błyszczącymi ze wzruszenia.

- Dzień dobry - przywitał ją ponad główką Brandona.

Skinęła głową i zamknęła drzwi. Wyraz jej twarzy i cała jej postawa mówiły mu, że nie chce wracać do wydarzeń ostatniej nocy. Musiała się od nich zdystansować i od niego też. Michael czuł się trochę rozczarowany, ale rozumiał i szanował jej wybór.

- Zaparzyłem kawę - oznajmił, wskazując ruchem głowy kuchnię. Tara natychmiast się odprężyła. - Świeżo zmielona.

- Świeżo zmielona kawa? I to mówi ktoś, kto jadł tylko gotowe dania z mikrofal?

Posłał jej filuterny uśmiech.

- Przecież wciąż ci powtarzam, że się zmieniłem. Maria jest

mistrzynią w parzeniu kawy. Trochę się przy niej nauczyłem.

Michael rozsunął suwak ciepłego płaszczyka Brandona, z podziwem przyglądając się smukłej sylwetce Tary. Właśnie zrzuciła z siebie krótką granatową kurteczkę. Miała na sobie proste, opinające biodra dżinsy i obcisły, żółty golf, uwydatniający kształtny biust. Zawsze mu się podobała, a ubiegłej nocy...

- Zdaje się, czuję nie tylko kawę. - Tara zmrużyła oczy i, wciągając nosem powietrze, skierowała głowę w stronę kuchni. - Czuję coś nieprzyzwoicie kalorycznego.

- Przyznaję się do winy. Orzechowe bułeczki. Kupiłem w piekarni na rogu, wracając z porannego biegu.

- Biegu? - Uniosła brwi ze zdziwienia. - Znajdujesz na to czas?

- Teraz mam czas na wiele rzeczy - zapewnił Michael.

Posadził Brandona na podłodze i nalał kawy do jednorazowych kubeczków.

- Są jednak w moim otoczeniu ludzie, mniejsza o nazwiska, którzy nie znaleźli czasu na to, żeby nadać mojemu mieszkaniu choćby pozory domu. Kiedy wszedłem tu dziś rano, zamiast mebli i naczyń zastałem katalogi z wzorami tapet, palety kolorów i mnóstwo próbek materiałów. Przy takim tempie prac chyba na zawsze pozostanę w tym hotelu.

Tara przyjęła od niego kubek z kawą z przepaszającą miną.

- To nie tak. Ja naprawdę pracowałam. Nawiązałam kontakty z wieloma hurtowniami. W każdej chwili przywiozą to, co potrzeba. Jednak nie mogłam bez ciebie niczego zacząć.

- No to już jestem. Cały do twojej dyspozycji. Ale najpierw razem pogrzeszymy. Oto bułeczki.

Tara uśmiechnęła się wesoło. Uwielbiała, kiedy się uśmiechała. Chciał mieć ten uśmiech na co dzień przez bardzo, bardzo długo. Ale żeby to było możliwe, musi być cierpliwy - nie nalegać, nie przekonywać.

Rozmawiali o pogodzie i o rozgrywkach Lwiątek. O ulubionych zabawkach i przysmakach Brandona. Patrzyli z radością, jak zajada się słodkimi bułeczkami, popijając mleko ze specjalnego dziecięcego kubeczka, który Tara przezornie zabrała ze sobą.

Byli razem jak jedna, kochająca się rodzina. Michael modlił się w duchu o cierpliwość i mądrość, żeby tak już zostało na zawsze.

Pół godziny później Tara, z paletą barw w ręce, stała pośrodku przyszłej sypialni Michaela. U jej stóp piętrzyły się katalogi tapet i setki próbek materiałów.

- Jesteś pewny, że niebieski to dobry kolor?
- A dlaczego nie? Do wszystkiego pasuje. Nie mam racji?

I to mówi ktoś, kto zawsze emanował czerwienią. A może tylko podświadomie tak go odbiera? Może jest pod wpływem wspomnień ubiegłej nocy, gorących pocałunków nad jeziorem?

- Nie, nie. - Przywołała się do porządku. - Niebieski jest dobry, bardzo dobry. Tylko zdziwiło mnie, że akurat ten kolor wybrałeś.

Tara za wszelką cenę starała się przybrać obojętny ton, nie zdradzić się z tym, jak bardzo Michael ją pociągał. Miał na sobie stare, wypłowiałe džinsy. Sweter w kolorze soczystej zieleni podkreślał głębię jego szarych oczu.

- Czy mówimy tylko o kolorze, czy o czymś więcej? - Przechylił głowę, lustrując ją wzrokiem.

- Chodzi o to, że upodobania do określonych kolorów wskazują czasami na pewne cechy charakteru.

- Naprawdę? A co niebieski mówi o mnie?
- Nic takiego, z czym mi się kojarzysz. Zaśmiał się rozbawiony.
- Zaintrygowałaś mnie. Więc jaki niby jest ten, kto wybiera niebieski?

- Cóż - zawahała się. - Przede wszystkim ceni sobie spokój. Potrafi cieszyć się drobiazgami, jest zrównoważony i opanowany.

Twarz Michaela jaśniała zadowoleniem.

- I ty uważasz, że niebieski do mnie nie pasuje? W takim razie, skoro jesteś na tym polu ekspertem, jaki kolor ci się ze mną kojarzy?

Tara pochyliła się nad próbkami na podłodze, układając je w zgrabny stosik.

- Może czarny? - podpowiedział, nie mogąc doczekać się odpowiedzi.

- Coś w tym rodzaju. - Wyprostowała się, drżącą ręką odgarniając włosy z twarzy. - Czarny to dyscyplina, autorytet, silna osobowość.

- Ale według ciebie to jeszcze nie jest ten właściwy kolor.

Zwilżyła nerwowo wargi, podczas gdy on stanął na wprost niej. Jego

spojrzenie z taką czułością błdziło po jej twarzy, że z emocji zadrżała.

- Nie.

- A jaki?

- Czerwony - powiedziała wreszcie, tylko przez ułamek sekundy wając się na spotkanie jego rozmarzonych oczu.

Delikatnie ujął ją za ramię i przyciągnął do siebie na odległość oddechu.

- W takim razie co czerwony mówi o mnie, Taro? - zapytał zmysłowym szeptem, wolnymi ruchami kciuka masując jej rękę.

- Czerwony... - Powoli przenosiła wzrok ku górze, aby znowu napotkać jego oczy i zapamiętać się w nich. - Czerwony dodaje energii, pobudza. Symbolizuje namiętność.

Tymczasem Michael, nie przestając wpatrywać się w jej oczy, ostrożnie napierał na nią, prowadząc ją wolno krok po kroku, aż poczuła za plecami ścianę jego sypialni. Znieruchomiała. Powinna go powstrzymać, odepchnąć. Zamiast tego wstrzymała oddech, zahipnotyzowana głodnym spojrzeniem jego szarych oczu.

- To ty dodajesz mi energii - rzekł cicho, ustami muskając jej skroń.
- Ty mnie pobudzasz.

Jego ciepły oddech, pachnący cynamonem i kawą, delikatnie pieścił jej twarz.

- Dla mnie to ty jesteś uosobieniem namiętności.

Dotknął ustami jej ust, łącząc się z nią w przejmującym, głębokim pocałunku. Tara z westchnieniem uległości otworzyła szerzej usta, rozkoszując się jegowyrzafinowaną obecnością i smakiem. Będąc całkowicie powolna wilgotnej pieszczocie jego warg, bezwiednie zaplatała palce w jego włosy, nieświadoma niczego poza zmysłowymi ruchami jego języka i naporem silnego, młodego ciała. Jego czułość była tak dojmująca, że chciało jej się płakać.

Jak z oddali dobiegł ją głos Brandona. Chwytnąc się drobnymi paluszkami jej spodni i przemawiając w swoim dziecięcym języku, przypominał o swojej obecności.

Michael zwolnił uścisk, uśmiechając się z pobłażaniem.

- Wygląda na to, że ktoś tu czuje się trochę osamotniony. - Jeszcze raz czule ucałował Tarę i schylił się, żeby wziąć synka na rękę. - Co się

stało, mały? Za bardzo się zaprzyjaźniłem z mamusią?

Brandon poklepał go rączkami po twarzy, a potem złożył mu na policzku mokrego, głośnego całusa.

- Rozumiem - rzekł, zaśmiewając się Michael. -Też masz ochotę na czułości.

- Ma! - powiedział Brandon, wyciągając rączki do mamy.

Trzymali go obydwój, a maluch uśmiechał się zadowolony, bezpieczny w ich ramionach. Michael pochylił się ku Tarze, posyłając jej uszczęśliwione spojrzenie.

- Nie ma dwóch zdań: niebieski - szepnął.Starszy, ale niekoniecznie mądrzejszy, przyznał z rezygnacją Michael. Noc była chłodna. Księżyc świecił w górze jak ostrzegawcza boja.

Z cichym stęknieniem Michael podskoczył i chwycił wiszącą gałąź. Lekko rozhuśtawszy ciało, zahaczył lewą nogą o konar wyżej. Drzewo rosło tuż pod oknami sypialni Tary.

W głowie mu się pomieszało. I pomyśleć, co miłość robi z człowieka. Od kilku dni dużo czasu spędzali razem, prowadząc długie rozmowy, śmiejąc się i całując... To wszystko za mało. Chce więcej. I będzie miał więcej - tej nocy!

Stosunkowo łatwo przemknął się przez system zabezpieczeń wokół posesji. Jutro musi porozmawiać o tym z Grantem. Ale to drzewo - to dopiero było wyzwanie! Jęknął z wysiłku, podciągając się jeszcze wyżej. Oszacował odległość i wyskoczył, chwytając się barierki balkonu. Jeszcze jeden skok i wylądował na balkonie.

Ma się tę krzepę, pogratulował sobie. Na chwilę, dojrzawszy ją po drugiej stronie szklanej tafli, wstrzymał oddech. Serce waliło mu jak młotem.

Ryzykował, skradając się do niej, ale Tara była warta każdego ryzyka.

Podszedł do drzwi, które, jak się spodziewał, były zamknięte. Nie spuszczać oczu ze śpiącej, sięgnął do kieszeni na piersi i wydobyl z niej niewielki pakiet. Ucieszył się, kiedy stwierdził, że zamek był wciąż ten sam. Dało się słyszeć delikatne kliknięcie, po czym Michael przekręcił gałkę i ostrożnie pchnął drzwi.

Zawiasy lekko zaskrzypiały. Zatrzymał się, rzucając niespokojne spojrzenie w stronę łóżka. Tara poruszyła się i przewróciła na drugi bok,

ale nie obudziła. Odetchnął z ulgą, nagle ogarnięty niepewnością. Może to jednak nie był dobry pomysł? Może wcale nie będzie to dla niej romantyczne? Może wyda jej się żalonym desperatem, włamującym się do jej sypialni, aby ją zniewolić?

Znowu się poruszyła, tym razem układając się na wznak z ramieniem wyrzuconym nad głowę. Pod prześcieradłem widać było kontur jej smukłych nóg. Michael stał u stóp łóżka w zupełnym bezruchu. Jedynie serce biło mu w piersi jak oszalałe.

I wtedy otworzyła oczy. Przestał oddychać. Zamrugała powiekami, popatrzyła na sufit i znowu na niego. Przestraszona, usiadła na łóżku, zakrywając piersi prześcieradłem. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. Wreszcie poznając go, zapaliła stojącą przy łóżku nocną lampkę.

- Michael - powiedziała tonem bardziej pytania niż wyrzutu. - Jak ty się tu... - Spojrzała ku uchylonym drzwiom balkonowym. - Ty chyba nie...

- Obawiam się, że tak. Taro, posłuchaj, teraz wiem, że to nie był dobry pomysł - mówił szybko, wpatrując się w wyraz jej twarzy. - Chyba trochę mi odbiło. Wydało mi się to, sam nie wiem - romantyczne? Jak za starych, dobrych czasów...

Przetarł dłonią twarz i potrząsnął głową. Dziwnie na niego patrzyła. Niczego już nie był pewien, tylko tego, że musi czym prędzej stamtąd wyjść, zanim zrobi z siebie większego osła.

- Przepraszam. - Zrobił uspokajający gest dłonią. - Postaraj się zasnąć. Już mnie nie ma.

Odwrócił się, żeby wyjść, ale zatrzymał się na dźwięk jej głosu.

- Michael...

Nie odwrócił się. Nie mógł się odwrócić.

- To było romantyczne. To jest romantyczne - mówiła prawie szeptem.

Wtedy odważył się na nią spojrzeć i, ku swojemu zaskoczeniu, zobaczył, że leży oparta na poduszkach z wyciągniętymi ku niemu ramionami.

- Nie odchodź.

Poczuł, jakby na nowo wstępowało w niego życie.

- Jesteś pewna?
- Niczego nie jestem pewna - Patrzyła szeroko otwartymi oczyma, jak zbliżał się do krawędzi łóżka. - A czy musimy być pewni, Michael? Czy nie możemy choć przez chwilę przestać się zastanawiać i cieszyć się życiem bez poczucia winy?
- Taro, nie ma takiej rzeczy na świecie, której bym pragnął bardziej niż być z tobą. Ale nie chcę, żebyś potem żałowała...Usiadła na łóżku i na chwilę przymknęła oczy.
- Przyszedłeś tutaj, kierując się impulsem. Pozwól mi zrobić to samo. Bądź moim sennym marzeniem, dobrze? Czy wiesz - a zresztą skąd miałbyś o tym wiedzieć - ile razy marzyłam o tym, żebyś był tu ze mną?
- Wzięła jego rękę, pocałowała i położyła sobie na piersi.
- Proszę cię. - Łzy potoczyły się jej po policzkach. - Niech to marzenie się spełni.
- Nie chcę być twoim marzeniem. Chcę być w twoim życiu - powiedział cicho, biorąc jej twarz w swoje dłonie. - Spójrz na mnie i powiedz, że wiesz, że to nie sen.
- To nie jest sen. - Przykryła jego dłonie swoimi. - Jesteś prawdziwy. Mój Boże, najprawdziwszy!
- Łkanie, które wyrywało jej się z ust, uwięził pocałunkiem - zachłannym i bezwzględny. Tak długo na nią czekał. O całą wieczność za długo!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Tara oparła się plecami o zagłówek łóżka i otuliła skrawkiem prześcieradła. Podciągnęła kolana pod brodę i spięła je klamrą ramion. Patrzyła na śpiącego męża.

Leżał na brzuchu z rozpostartymi ramionami, włosami w nieładzie. Bezwładny i zaspokojony. Piękny. Kusilo ją, żeby go dotknąć. Chyba nigdy nie przestanie chcieć go dotykać. Powstrzymała rękę. Niech śpi.

Niedługo będzie świtać. Kochali się całą noc. Gorączkowo i namiętnie. Powoli, jak w transie. Intensywnie i wyuzdanie.

To było niesamowite! Cudowne! I tak beznadziejnie niewłaściwe. Oddała mu się bez reszty. Bez żadnych zahamowań. Odsłoniła przed nim najintymniejsze zakątki duszy. I co teraz?

Wtedy to się wydawało takie oczywiste. Oboje nadzy i ufni. Bezbronni wobec siebie i na siebie skazani. W łóżku zawsze umieli się porozumieć, ale w życiu... Przestraszyła się. Znowu zaufała miłości, ale czy jej nie zgubi?

- Hej.

W bladym świetle budzącego się dnia napotkała świdrujące spojrzenie jego oczu.

- Nie wiedziałam, że nie śpisz.

- Wszystko dobrze?

Zamiast odpowiedzi odwróciła wzrok.

Na to jej nie pozwoli. Podniósł się i oparł na łokciu.

- Chodź, przytul się do mnie.

Pomimo nurtujących ją wątpliwości nie miała odwagi odmówić. Pozwoliła, żeby ją objął ciepłem swojego ciała, odnalazł drogę do jej pragnienia i zabrał tam, gdzie nic nie miało znaczenia. Nic poza rozkoszą dawania i bycia obdarowywanym.

Michael powoli otwierał oczy. Był wyczerpany, ale wystarczyło, że na chwilę zagrzebał się w pościeli przesyconej zapachem Tary, że spojrzał na pokój skąpany w porannym słońcu, żeby od razu nabrał ochoty do życia. Przeciągnął się leniwie i przewrócił na plecy. Czuł się trochę rozczarowany, że Tara już wstała.

Przez chwilę się zastanawiał, czy ma się ubrać i wyjść tą samą drogą, którą przyszedł, czy lepiej będzie, jeśli zejdzie na dół schodami, jak na członka rodziny przystało. W końcu doszedł do wniosku, że po takiej nocy nie powinien mieć wątpliwości, że ma prawo tu być.

Posiadł ją całą - jej ciało, serce, duszę. Nie mógł się doczekać, kiedy z nią porozmawia, kiedy zaczną snuć plany wspólnego życia dla całej trójki. Już sobie to wyobrażał. Mogliby mieszkać i w Chicago, i w Ekwadorze. Był przekonany, że jej się tam spodoba. Ona Santiagom na pewno też. Maria oszaleje na punkcie Brandona. Wystarczy, że wyciągnie do niej rączki i uśmiechnie się, jak tylko on potrafi.

Z radości śpiewał pod prysznicem. Potem przeżył chwilę konsternacji, szukając czegoś do golenia. Maszynki, których używała do golenia nóg, były za delikatne.

Jej nogi - gładkie jak jedwab - na jego plecach, przy jego ustach...

- Wyhamuj, Romeo - powiedział do siebie, wskakując w spodnie i zaciągając suwak. - Maszeruj na dół i znajdź swoją kobietę.

Stwierdziwszy, że może się już pokazać, otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Na górze nie było nikogo, więc zszedł schodami na dół. Zapach śniadania zaprowadził go do jadalni.

Kiedy stanął w drzwiach, Emma, w pierwszej chwili zaszokowana, powitała go ciepłym uśmiechem.

- Miła niespodzianka. Dzień dobry, Michaelu.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - odparł, nie ukrywając radości.

Grant wyglądał na niemile zaskoczonego, potem pogodzonego ze stanem rzeczy. Utkwił oczy w twarzy Michaela, podnosząc do ust filiżankę.

- Ruby - powiedział, upiwszy łyk kawy - wygląda na to, że będzie nam potrzebne jeszcze jedno nakrycie.

- Już przynoszę - zaszczębiotała wesoło Ruby, puszczając oczko do

Michaela.

- Da! - odezwał się Brandon. Siedział na wysokim krzeselku, jak na tronie.

- Jak tam, mały kolego? - Michael podszedł do syna. - Wcinamy naleśniki, tak?

- Am - wymamrotał Brandon i obywając się bez łyżeczki, wpakował sobie do buzi ociekający syropem kawałek.

- Może tobie się uda nauczyć go dobrych manier - mruknął ściągając brwi Grant, aby się po chwili uśmiechnąć pobłaźliwie, gdy wnuczek popatrzył w jego stronę.

- Proszę, Bran - powiedziała Tara, wchodząc do jadalni z mokrą ściereczką w ręku. - Zetrzemy trochę tego syropu z paluszków, dobrze?

Ujrzawszy Michaela, zatrzymała się w pół drogi i zarumieniła.

- Dzień dobry - powitał ją.

- Dzień dobry - odparła, wracając do swoich obowiązków.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu - powiedział, baczenie się jej przyglądając. Po wspólnie spędzonej, upojonej nocy spodziewał się zastać ją w równie dobrym nastroju. Zamiast tego była zdenerwowana, spięta i niechętna. Do tego unikała jego wzroku.

Rozczarowany i trochę zły na nią, zacisnął zęby. Może faktycznie nie powinien był tu przychodzić. A jednak - Boże, jaka ona piękna! Chciał z nią porozmawiać. Chciał jej powiedzieć, że ją rozumie, a przynajmniej się stara, że jeśli trzeba, poczeka jeszcze trochę.

- Telefon do pana, panie Connelly - powiedziała Ruby, wchodząc do jadalni z przenośnym aparatem.

- Connelly przy telefonie - powiedział Grant z filiżanką w ręce. - O Boże! - Twarz mu pobladła i aż ugiął się pod ciężarem wiadomości. Odstawił filiżankę na stół, opadając na krzesło. - Tak. Oczywiście, będę. Dziękuję.

Rozłączył się i ciężko westchnął.

- Grant? - Emma dotknęła jego drżącej dłoni. - Kochanie, o co chodzi? Co się stało?

- Z policji. Kolejne morderstwo.

- O mój Boże - szepnęła przerażona. - Chyba żadne z naszych dzieci, Grant...

- Nie, nie, kochanie - pospieszył z zapewnieniem. - To... Mówią, że to Tom Reynolds - rzekł ponuro.

- Ten z Rey-Star? - wtrącił Michael, przypominając sobie, co opowiadała Tara.

- Tak - potwierdził Grant, spoglądając na Michaela, a potem na swoją żonę. - Muszę tam zaraz być.

- Jak do tego doszło? Co się stało? - dopytywała się Emma.

Grant pokręcił głową.

- Ja nic nie wiem. Poprosili mnie, żebym przyjechał do komendy głównej i zidentyfikował ciało.

- Och, tatusiu! - Oczy Tary zasły łzami. - Tak mi przykro.

- Powiedz Ruby, żeby przygotowali samochód. Grant wstał od stołu, wstrząśnięty i przybity wiadomością.

- Ja pana podwożę, jeśli pan pozwoli - zaproponował Michael. Widział, że w tym stanie Grant nie będzie mógł prowadzić.

Grant popatrzył na niego z wdzięcznością.

- Dobrze. Niech tak będzie.

- Ja też pojedę. - Tara podeszła do ojca i objęła go ramieniem.

- Nie - powiedzieli jednocześnie mężczyźni, patrząc zgodnie na siebie.

- Zostań, Taro - rzekł łagodnie Michael. - Z mamą i Brandonem.

Nie miał ochoty jej zostawiać. Miał przecież zamiar porozmawiać z nią o nich i o ich przyszłości. Będzie jednak musiał poczekać na odpowiedniejszy moment.

- Chodźmy - zwrócił się do teścia, podtrzymując go za ramię. - Przejdziemy do samochodu. Jest zaparkowany tuż przy bramie.

Pomyślał, że ten krótki spacer na świeżym powietrzu dobrze Grantowi zrobi. Pomoże mu się pozbierać.

W drodze na policję Grant opowiedział mu o prowadzonym dochodzeniu, dzieląc się gniewem i smutkiem po tym, co się stało. Opowiadał o Tomie Reynoldsie, człowieku, którego lubił i poważał.

Michael słuchał go uważnie, pełen współczucia. Po raz pierwszy poczuł, że Grant go potrzebuje i akceptuje.

Michael był pełen podziwu dla Granta. Wykazał się siłą charakteru w obliczu śmierci.

Kiedy wychodzili z kostnicy po tym, jak zidentyfikował zwłoki Toma Reynoldsa, spotkali w korytarzu atrakcyjną młodą kobietę z sięgającymi ramion brązowymi włosami i pięknymi czekoladowymi oczyma. Plakietka na piersi informowała, że jest detektywem ze Specjalnego Biura Śledczego.

- Grant! - zawołała, czule go obejmując - właśnie się dowiedziałam. Przyjechałam najszybciej, jak tylko mogłam.

- Zabili go, dranie.

- Tak, wiem. Bardzo ci współczuję. Michael stał z boku, nie chcąc przeszkadzać w rozmowie.

- Przepraszam - powiedziała, w końcu zwracając na niego uwagę. Przyglądała się jego twarzy, zastanawiając się, czy się już kiedyś spotkali. - Jestem Elena Connelly, synowa Granta.

- Żona Bretta - wywnioskował, uśmiechając się Michael, i podał jej rękę. - A ja jestem Michael Paige.

- Cieszę się, że cię w końcu poznałam, tylko szkoda, że w takich okolicznościach.

- Eleno, powiedz mi, co się dzieje - wtrącił się Grant, powoli wychodząc z szoku. - Kto zabił Toma?

- Tego nie wiedzą. Wiadomo jedynie, że zginął na tyłach Broderton Computing.

- Broderton? - Zmarszczył czoło Grant. - To ta sama firma, którą Charlotte zatrudniła przy naprawie sieci komputerowej. Charles Broderton sam dokonywał naprawy. Tłumaczył, że nie ma zaufania do jednego ze swoich pracowników.

- Tak, wiemy - przytaknęła Elena, prowadząc go spokojnie korytarzem. - Sprawdzają, czy to ma jakiś związek. Może byś jednak na chwilę usiadł tutaj w holu?

Grant nagle się zatrzymał, wypatrując kogoś.

- Poczekaj, to Charlotte.

Michael spojrział we wskazanym kierunku. Charlotte Masters, sekretarka Granta, wchodziła w policyjnej eskorcie do pomieszczenia, które najprawdopodobniej było salą przesłuchań.

- Charlotte! - wykrzyknął Grant i ruszył w jej kierunku.

Młoda kobieta smętnie zwiesiła głowę i zniknęła w środku. Elena

spojrzała błagalnie na Michaela, żeby pomógł jej uspokoić Granta.

- Spokojnie, Grant - powiedział Michael, zatrzymując go w pół kroku. - Na pewno znajdzie się jakieś logiczne wytłumaczenie.

- Niestety - rzekł smutno Grant. - Obawiam się, że to zaczyna być aż nazbyt logiczne. Chcę być przy przesłuchaniu - wybuchnął nagle. - Nalegam. Muszę poznać prawdę.

- Proszę cię, Grant, zostań tutaj z Michaeliem. Zorientuję się, jak sprawy stoją.

Grant niechętnie usiadł na krześle. Kiedy po paru minutach Elena wróciła, zerwał się na równe nogi.

- Niestety - powiedziała z bezradnym grymasem. - Nawet ja nie mogę być przy przesłuchaniu, bo oficjalnie już tej sprawy nie prowadzę.

- Przecież to idiotyczne! Prowadziłaś ją od samego początku.

- Ale teraz już nie. Oficjalnie wciąż jestem na urlopie macierzyńskim - tłumaczyła cierpliwie. - Proszę, jedź do domu. Nic tu po tobie. Popytam ludzi i może się czegoś dowiem, a potem przyjadę do was, dobrze? Grant nie dał się łatwo przekonać, ale w końcu pozwolił się odwieźć do domu.

Elena przyjechała do Lake Shore Manor późnym popołudniem, ale niewiele miała do dodania.

- Zeznanie Charlotte objęte jest tajemnicą służbową - oznajmiła z grobową miną, kiedy wszyscy zasiedli w saloniku.

- To znaczy? - dopytywał się niecierpliwie Grant.

- To znaczy, że tylko detektywi aktualnie prowadzący dochodzenie mają do niego dostęp. Jeśli się nie mylę, w sprawę jest jeszcze zamieszana Angie Donahue. Wezwano ją na przesłuchanie zaraz po Charlotte.

- Angie Donahue? - zdziwił się Michael. - Co matka Setha może mieć z tym wspólnego?

- Jej ojcem jest Edward Kelley - odpowiedziała i zamilkła znacząco.

- Kelley... - zastanawiał się głośno Michael, marszcząc brwi. - Ci Kelleyowie z Chicago? - zapytał, zaczynając wreszcie rozumieć.

Elena skinęła głową.

- Przecież to mafia! Bezwzględni bandyci! Myślisz, że oni stoją za... - zawahał się, bojąc się nawet głośno mówić o swoich domysłach. - Za

czym dokładnie?

- Cóż, skoro wyszło na jaw powiązanie Angie z Kelleyami, mogą stać za wszystkim. Poczynając od śmierci króla Thomasa i księcia Marka, przez nieudany zamach na Daniela, aż po śmierć Toma Reynoldsa. Niestety.

Elena spojrzała ze współczuciem na Emmę i Granta.

- Mów dalej, Eleno. - Grant wyglądał jak ktoś, komu wali się cały świat.

- Chciałabym - pokręciła głową Elena - ale nic więcej nie mogę powiedzieć. Jak tylko Angie zorientowała się, że powiedziała o parę słów za dużo, poprosiła o ochronę. Reszta to tylko spekulacje.

- Mój Boże! Czy to znaczy, że ci Kelleyowie ją też mogą zabić? - Emma zbladła jak ściana.

- Jej ojciec zrobi wszystko, żeby ją chronić, ale będzie się musiał najpierw zmierzyć z Franklinem Kelleyem. A jeśli nie błądzimy w naszych domysłach, właśnie on jest odpowiedzialny za te wszystkie zabójstwa.

Zapadło ponure milczenie.

- W każdym razie - Elena podjęła przerwany wątek - nie możemy wykluczyć najgorszego. Biorąc pod uwagę powiązanie Angie z Kelleyami i to, że właśnie Angie nakłoniła Charlotte do zarekomendowania firmy Broderton Grantowi, a teraz zamordowanie Toma Reynoldsa na ich terenie... Cóż, na tym może się nie skończyć.

- Charlotte powiedziała policji o Angie. To czyni z niej kolejny cel Kelleyów - wnioskujeł grobowym tonem Grant. Elena podeszła do niego, wzięła go za rękę i powiedziała:

- Kiedy po przesłuchaniu wychodziła z komendy głównej, strzelano do niej.

Emma wydała okrzyk przerażenia, a Grant zaklął.

- Na szczęście nic jej się nie stało, ale po tym incydencie zgodziła się współpracować z policją i przyjęła ochronę.

- Gdzie ona teraz jest? - zapytał Grant. - Gdzie ją trzymają?

Wyraz twarzy Eleny go przeraził.

- Coś się stało?

- Uparła się, żeby jechać do swojego mieszkania i zabrać trochę

ubrań, parę osobistych drobiazgów. Podczas gdy nasz człowiek czekał na zewnątrz, ulotniła się.

Michael pokręcił głową. To mogło się dla niej źle skończyć.

- Jak to „ulotniła się”?

- Wymknęła się, uciekła. Próbują ją odszukać, ale minęły już trzy godziny, a po niej ani śladu.

- Twój ojciec jest naprawdę przybity - odezwał się Michael, przypatrując się uważnie Tarze.

Nareszcie zostali sami. Siedzieli w saloniku i sączyli wino. Tara bardziej się winem bawiła, niż je piła. On też był zaaferowany swoimi myślami. Czekał nachoc jeden znak z jej strony, że ostatnia noc ich do siebie zbliżyła.

- Charlotte znalazła się w niezłych tarapatkach - rzekł, próbując nawiązać rozmowę.

- Trudno uwierzyć, że może być zamieszana w całą tę sprawę - odezwała się w końcu, przygryzając wargi i potrząsając z niedowierzaniem głową. - Ojciec traktował ją niemal jak członka rodziny.

- A co z partnerem Reynoldsa?

- Nie tak dawno temu wyjechał z miasta. Podobno pilne sprawy rodzinne. Zostawił numer telefonu. Ojciec zadzwonił do niego dziś po południu i powiedział, co się stało.

- To musiał być dla niego cios. Tara skinęła głową.

- Byli bardzo do siebie przywiązani.

Znowu zapadło kłopotliwe milczenie. Tara wstała i podeszła do kominka.

- Ojciec wezwał Rafe'a do powrotu.

- Gdzie on teraz jest?

- Zdaje się, że w Arizonie. - Przyłożyła kieliszek do skroni, jakby chciała ukoić ból, który się tam umiejscowił. - Ojciec kazał mu rzucać wszystko i wracać do domu. Potrzebuje kogoś absolutnie zaufanego, żeby przejrzał system komputerowy w Connelly Corporation. Kto wie, co ten Broderton tam nawyczyniał.

- Ma rację. Trzeba wszystko sprawdzić.

- Ojciec nigdy nie dał powiedzieć o Charlotte złego słowa. Zresztą

nie było powodu. A teraz? Zwłaszcza po tym jak zniknęła...

Michael zamyślił się, przypominając sobie tę wysoką, szczupłą rudawą blondynkę. Dla niego ona zawsze była jak zimna ryba. Oficjalna i niedostępna. Ale Grant darzył ją ogromnym zaufaniem. Miał nadzieję, że Charlotte oprzytomnieje i wkrótce wróci, żeby albo oczyścić się z zarzutów, albo rzucić więcej światła na sytuację, która stawała się groźniejsza z każdym dniem.

- Wyjedź ze mną do Ekwadoru - wypowiedział myśl, która niespodziewanie przyszła mu do głowy. Tak! Musiał ją stąd zabrać.

- Michael...

- Tym razem nie mów „nie”, proszę. Nie podoba mi się to, co się tutaj dzieje. Ktoś zostaje ostrzelany, ktoś inny zamordowany, jeszcze inny znika w tajemniczych okolicznościach. Nie zaznam spokoju, dopóki ty i Brandon nie będziecie bezpieczni.

Tarą spojrzała na niego znad kieliszka. W jednej chwili stało się dla niego jasne, że boi się z nim wyjechać. Bardziej się obawia jego tam niż tych bandziorów tutaj.

- Tara, po tym, co się stało ubiegłej nocy...

- Nic się takiego nie stało. Uprawialiśmy seks. Nie mogła zadać mu większego bólu. Patrzył na nią, jakby przybyła z innej planety. Chłód zakradł się do jego zranionego serca i zaczęła wzbierać w nim złość.

- Tak mówisz?! Byłem tam, pamiętasz? To nie był tylko seks, To była... Na miłość boską, Taro, to moje imię wołałaś. To ja...

- Michael, seks nigdy nie stanowił dla nas problemu.

Nie wierzył własnym uszom. I wtedy nagle to do niego dotarło. Jeśli nie przekonała jej ubiegła noc, to nie ma już żadnej szansy. Tak niewiele zostało w niej z tamtej Tary sprzed lat - zbyt mało, żeby uwierzyła w ich szansę.

Lecz mimo to uparcie postanowił próbować.

- Więc porozmawiajmy o tym, z czym mamy problem - powiedział przez zaciśnięte zęby, czując nawrót ostrego, pulsującego bólu w skroni.

- Nie uda się, prawda? A dlaczego? Dlatego, że do rozmowy potrzeba dwojga, a ty bez przerwy uciekasz.

Nie miała nic do powiedzenia. Siedziała w milczeniu, apatyczna, i patrzyła na niego znużonym wzrokiem.

- Taro! Próbowałem już wszystkiego. Co jeszcze mogę zrobić?

Przymknęła oczy i odwróciła się plecami.

- Myślę, że będzie lepiej, jak sobie pójdziesz. Pokręcił głową, zwiesił ramiona, a potem, w poczuciu totalnej klęski, przeniósł wzrok na sufit.

- Tak - odezwał się zmęczonym głosem. - Lepiej już pójde. Tylko tracę czas. Poddaję się, słyszysz? Rezygnuję z małżeństwa, z ciebie. Wiesz co? Miałaś rację. Nie jesteś tą samą kobietą, z którą wziąłem ślub. Tamta miała w sobie ogień. Wiedziała, czego chce i kogo kocha. Ale jej już nie ma. To ona umarła dwa lata temu, nie ja.

W pokoju zapanowała zupełna cisza. Słyszeć było tylko trzask palonego w kominku drewna.

- Kobieta, którą poślubiłem, którą kochałem, знаła prawdę. Widziała, że za każdym razem, kiedy trzymałem ją w ramionach, za każdym razem, gdy się kochaliśmy, oddawałem jej część mojej duszy.

Michael odwrócił się i wolno szedł w stronę drzwi. Przegrał. Nie miał już siły ani ochoty do walki, a jego serce było jedną krwawiącą raną. Ale nawet wtedy czekał, że go zatrzyma, że się rozpłacze. Że powie mu, że się myli.

- Nie będę robił trudności przy rozwodzie - powiedział w końcu. - Jedyne, o co proszę, to możliwość widywania dziecka. Twój adwokat może się kontaktować ze mną w Ekwadorze. Zostawię ci swój adres jutro przed wyjazdem.

Z ręką na gałce u drzwi odwrócił się, żeby spojrzeć na nią jeszcze raz.

Stała z opuszczoną głową, jedną ręką ciasno przytrzymując się w pasie, drugą zakrywając usta. Po policzkach spływały dwie bliźniacze łzy. - A mogło być tak dobrze. - Ostatni raz popatrzył na ukochaną twarz, odwrócił się i wyszedł.

Zostawiał ją i swoje życie, które utracił po raz drugi.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Mijał kolejny, długi dzień. Michael siedział na werandzie, rozparty na ogrodowym krześle. Niedawno wrócił do domu po dwunastogodzinnym dniu pracy w lesie.

- Ludzie z gór mają takie powiedzenie - zagadnęła go Maria łamaną angielszczyzną. Bardzo martwiła się stanem jego ducha.

Michael kochał Marię i doceniał jej starania, ale wolałby teraz być sam. Chciał siedzieć przy piwie i pielęgnować w sobie ponury nastrój, który go nie opuszczał od powrotu z Chicago.

Skoro nie potrafił wymazać Tary z pamięci, doprowadzi się do takiego stanu, że nie będzie miał nawet siły, żeby myśleć. Na razie nie bardzo mu się to jednak udawało.

Jedyna korzyść to fakt, że pozbył się tych piekielnych bólów głowy.

Wytarł grzbietem dłoni spocone czoło.

- Ludzie z gór zawsze mają jakieś swoje porzekadła - odpowiedział cierpliwie, mając sobie za złe, że to on jest przyczyną jej zmartwień.-
Mówią - ciągnęła Maria - że w Ekwadorze wystarczy jeden dzień, żeby przeżyć wszystkie cztery pory roku.

Michael dopił piwo z butelki i postawił ją na stole. Jego pusty wzrok krążył gdzieś nad ogrodem Marii, gdzie jej tropikalne rośliny pyszniły się kolorami w promieniach zachodzącego słońca.

Cztery pory roku w jeden dzień. Chryste! Był tak zmęczony, że chyba minęły mu cztery życia. Cztery długie, puste życia.

- Poranki są ciepłe niczym lato - mówiła dalej Maria ze swoim twardym środkowoamerykańskim akcentem. - Południe przypomina wiosnę, bo niebo się chmurzy. Popołudnie jest jak jesień, chłodna i deszczowa. A noc jest zimna, skrzy się gwiazdami.

Przysiadła się do niego i matczynym gestem pogładziła go po twarzy.

- Boję się, Miguel, że całe twoje życie zamieniło się w jedną porę roku. Twoje serce jak sople lodu. W twoim sercu zawsze zima.

Michael miał już za sobą wyczekiwanie pod telefonem, nasłuchiwanie śmiechu małego chłopca, kroków pod drzwiami.

To się nigdy nie stanie, a życie musi się toczyć dalej. Jakoś się potoczy.

- Nic mi nie będzie - rzekł z wymuszonym uśmiechem.

- Poczulbyś się lepiej, gdyby w twoim życiu znowu nastąpiło lato.

Lato, czyli Tara.

- No cóż, raczej nie sądzę, że bym mógł na to liczyć.

- Nawet jeżeli poproszę, żebyś mi dał jeszcze jedną szansę?

Serce podskoczyło mu do gardła, a następnie zaczęło kołatać się w piersi jak szalone. Spojrzał na pustą butelkę. Może faktycznie za dużo ostatnio pije.

- Zasługujemy na jeszcze jedną szansę, nie uważasz?

Tara! Zamknął oczy i przełknął ślinę. Za bardzo tego pragnął, żeby uwierzyć, że to jest możliwe. Że słyszy jej głos.

Ale kiedy ponownie otworzył oczy, najpierw zobaczył dodający otuchy uśmiech Marii, a potem w polu jego widzenia ukazała się Tara. Jeszcze piękniejsza, niż ją pamiętał, delikatniejsza, ale i odważna.

Maria uścisnęła jego rękę i podniosła się z krzesła.

- Lato, Miguel. A myślałeś, że nie przyjdzie. Z tymi słowami zostawiła ich samych.

- Miałaś rację - powiedziała Tara, robiąc niepewny krok w jego stronę. - Pięknie tu.

Miała na sobie cienką, powłóczystą letnią sukienkę, która mieniła się kolorami ciemnej zieleni deszczowych lasów, groszku, lawendy i brzoskwini. Delikatna tkanina powiewała na wietrze, przylegając miejscami do jej smukłej sylwetki.

- Wyglądasz jak kwiat - odezwał się niskim tonem i wstał, gdy podała mu rękę.

Uścisnął ją, z trudem powstrzymując się, żeby jej całej nie wziąć w objęcia i mocno nie przytulić.

- Nie umiałam sobie z tym poradzić - rzekła bez żadnego wstępu Tara. Spojrzała na ich złączone dłonie, a potem w jego oczy. - Nie

potrafiłam poradzić sobie z tymi wszystkimi emocjami. Tak wiele ich było, Michael. Tyle ich jest.

Dotknęła jego twarzy, ale zaraz lękliwie cofnęła rękę.

- Jeśli chodzi o tę kobietę, tę, którą, jak mówiłeś, się stałam... Ja też jej nie lubiłam. Dopiero kiedy wyjechałeś, zrozumiałam dlaczego. Zbyt się bała, żeby zaufać swoim uczuciom. Zbyt się bała, żeby zaufać i uwierzyć w ciebie.

- Co się z nią stało? - zapytał łagodnie z sercem przepelnionym miłością.

- Odprawiłam ją - odparła rezolutnie. - Z taką histeryczką nie sposób dłużej wytrzymać.

Z radością rozpoznawał w niej swoją dawną Tarę.

- A co sprawiło, że się w końcu na niej poznałeś? Patrzyła na niego fiołkowymi oczami tak, jakby chciała zapamiętać jego twarz.

Koniuszkami palców powiodła po linii jego szczęki.

- Kiedyś długo patrzyłam na swoje odbicie w lustrze. W pewnym momencie przestraszyłam się, bo nie umiałam nas odróżnić.

Ujął jej rękę i przycisnął sobie do ust.

- A teraz?

- Teraz tak. - Wtuliła się w jego ramiona. - Na jej obronę powiem, że przeżywała okropne lęki.

Wciskając sobie głowę Tary pod brodę, ucałował jej włosy.

- Opowiedz mi o nich.

- Przede wszystkim bała się uwierzyć, że naprawdę się zmieniłeś. I to tak bardzo, że nie chciała dostrzec nawet tego, co było widać gołym okiem. Bała się, że się wyda, że jest hipokrytką.

- Hipokrytką?

- Tak. - Odchyliła głowę, żeby zajrzeć mu w oczy. - Zarzucała tobie to, czemu w istocie rzeczy sama była winna. Bała się siły własnych uczuć, jakie, miała do ciebie. Minęły dwa lata, Michael. Od dwóch lat je tłumiała, nie pozwalając sobie nawet na okres żałoby po tobie. Pozwolić sobie na uczucia oznaczało ogromne cierpienie.

- I nagle wróciłem do świata żywych.

- Kiedy wróciłeś, była taka... Nawet nie potrafię opisać, co wtedy czuła. Tak bardzo chciała cię pokochać, ale nie mogła. Zabrakło jej

odwagi, żeby zaryzykować i otworzyć się.

- Obawiała się, że znów mnie straci - wtrącił Michael. Łzy napłynęły jej do oczu, przygryzła dolną wargę i skinęła głową.

Wziął jej obie ręce, podniósł sobie do ust i przywarł do nich wargami.

- Może czuła się zagubiona - powiedział cicho.

- To też.

- Ale chyba można ją zrozumieć.

- Można, ale jednak trudno mi jej wybaczyć. Przez jej tchórzostwo mogłam cię już nigdy nie zobaczyć.

- Mogłaś, ale tak się nie stało. - Pocałował ją czule w policzek. - Nigdy nie mów nigdy.

- Nigdy nie jest takim złym słowem, kiedy je umieścić w odpowiednim kontekście - mówiła, a jej oczy jeszcze mokre od łez rzuciły coraz weselsze błyski.

- Na przykład? - Nie przestawał obsypywać jej twarzy pocałunkami.

- Na przykład: nigdy nikogo nie kochałam tak, jak ciebie. Nigdy nie przestanę ciebie kochać. Nigdy nie pozwolę, żebyś znowu mnie opuścił. Zniosę wszystko pod warunkiem, że ty będziesz obok mnie.

Przybyła cała rodzina. Na tę specjalną okazję zjechali nawet Vincente i Maria z Ekwadoru. Maria -kobieta o romantycznej duszy - tuż przy ustach trzymała koronkową chusteczkę, którą od czasu do czasu osuszała łzy wzruszenia. Dzień był ciepły i pogodny, z lekkim wiatrem. W ogrodach przy Lake Shore Manor, przed pięknie udekorowanym ołtarzem Tara i Michael odnawiali swoje śluby.

Brandon, ubrany w spodenki do kolan, marynareczkę i krawat, nie przejmując się ceremonią, bawił się w chowanego kryjąc w fałdach sukni mamy. Wreszcie Michael, nie kryjąc rozbawienia, wziął chłopca na ręce.

Po wzruszającym, serdecznym toaście, jaki Grant wygłosił na cześć młodej pary, Tara i Michael przyjmowali gratulacje od licznie zgromadzonych gości.

- Jest trochę inaczej niż za pierwszym razem - powiedział żonie do ucha.

Tara objęła go w pasie i z szelmowskim uśmiechem odpowiedziała:

- Wtedy było bardziej czadowo.

- Kocham cię - wyszeptał, nachylając się, żeby ją pocałować. - I nigdy nie będę cię nie kochał - dodał z uśmiechem, korzystając z okazji, żeby użyć ich nowego ulubionego słowa.

Tara nie wiedzieć czemu posmutniała.

- Co się stało? - zapytał.

- To Seth - zwierzyła się. - Martwię się o niego. Michael podążył za jej spojrzeniem w odległy kraniec ogrodu, gdzie stał samotnie Seth.

- Idź, porozmawiaj z nim - powiedział z wyrozumiałym spojrzeniem.

- Ja tymczasem przedstawię Vincente'a i Marię pozostałym gościom. Później do nas dołączysz.

- Kocham cię - odparła, całując go czule i natychmiast kierując się do miejsca, gdzie stał Seth.

- Hej - powitała brata. - Chyba dobrze, że przyniosłam szampana. - Wskazała na jego pusty kieliszek i podała mu butelkę, którą po drodze zabrała ze szwedzkiego stołu. - Nalej, bracie.

- O ile wiem, świętujemy szczęśliwe wydarzenie - zażartowała z jego smutnej miny, kiedy napełnił kieliszki szampanem.

Seth uniósł brwi i lekko się uśmiechnął.

- Jesteś szczęśliwa? - zapytał.

- Kocham go. I on mnie kocha. O tak, jestem bardzo szczęśliwa.

Seth cmoknął ją w policzek.

- Tym razem nie pozwól, żeby ci to szczęście uniknęło.

- Nie mam takiego zamiaru. Ale, prawdę mówiąc, o ciebie się bardziej niepokoję.

Seth wypił łyk szampana i zapatrzył na ogród.

- Czy muszę siłą cię zmuszać do mówienia? - próbowała znowu zażartować.

- Wyjeżdżam na jakiś czas - odezwał się wreszcie.

- Wyjeżdżasz? Ależ Seth...

- Ciii, nie chcę, żeby inni się dowiedzieli. Będą zaraz chcieli mnie od tego odwieść.- Hm, a ja to co? Też nie chcę, żebyś gdziekolwiek jechał.

- Taro, zrozum, muszę to zrobić, OK?

Tak, doskonale go rozumiała. Chodziło o jego matkę, Angie Donahue, i jej rodzinne, jak i kryminalne powiązania z rodziną Kelleyów. Nie mógł sobie tego darować.

- Chciałabym móc ci jakoś pomóc - powiedziała, czując napływające do oczu łzy.

- Wiem i doceniam to, ale w tej sprawie muszę sobie poradzić sam.

- Ale dokąd pojedziesz? Na długo?

- Nie wiem, naprawdę nie wiem.

- No cóż, rozumiem.

- Będzie dobrze - zapewniła, siląc się na uśmiech.

- W pracy załatwiłem sobie urlop na czas nieokreślony. Rodzinie powiedz, żeby się nie martwili. Jak tylko się urządzę, dam znać.

- Wyjeżdżasz już teraz? Zaraz? - zapytała, czytając w jego oczach.

- Pora dobra jak każda inna. - Odstawił kieliszek i objął ją czule. - Trzymaj się, siostrzyczko.

- Zadzwonisz?

- Zadzwonię na pewno. - Dotknął jej policzka. - Ze wszystkich zawsze najbardziej kochałem ciebie, mała Terrorysto.

- Ja ciebie jeszcze bardziej - odparła ze swadą, nie pozwalając sobie na łzy. Od dzieciństwa uwielbiali się przekomarzać. Uznała, że właśnie tego od niej oczekuje.

Patrzyła smutnym wzrokiem, jak odchodzi i znika w tłumie gości.

- Nic mu nie będzie, Taro - usłyszała za sobą uspokajający głos Michaela. Odwróciła się i wtuliła w zakole jego ramion. - Poradzi sobie, jak zawsze.

Jak dobrze móc przytulić się do niego i zaufać jego słowom. Im też się udało. Przetrwali najgorsze. Są żywym dowodem na to, że miłość potrafi uleczyć nawet najgłębsze rany.

- Chodź - ponaglił ją łagodnie. - Podejrzenie długo nie ma nas na naszym własnym przyjęciu.

- Jeżeli to takie podejrzone - rzekła z przekorą, rzucając mu filuterne spojrzenie - to co byś powiedział, gdybyśmy się ulotnili na kolejne trzydzieści minut czy coś koło tego?

. Wzięła go za rękę i udając, że się chyłkiem wymyka, pociągnęła go w stronę labiryntu, ulubionego miejsca dziecięcych zabaw.

- Chyba żartujesz - powiedział, nieszczególnie się opierając, kiedy znikali za nienagannie przystrzyżonym żywopłotem.

Z szelmowskim uśmiechem sięgnęła pod elegancką suknię w kolorze

kości słoniowej, żeby po chwili zamachać mu parą jedwabno-koronkowych majteczek. Rzuciła nimi, a on zręcznie je złapał.

- Czy sądzisz, że żartowałam z czegoś takiego? Uśmiechnął się uwodzicielsko.

- Nigdy - rzekł, przyciągając ją do siebie zdecydowanym ruchem.

- No i proszę - znowu to nasze słowo! Ale potem nie było już żadnych słów.

Tylko ich dwoje - beznadziejnie, nieuleczalnie w sobie zakochanych. Teraz i na zawsze.

Scandalous